

Joseph Sheridan LeFanu

CARMILLA



Joseph Sheridan Le Fanu

Carmilla

tlum. Paulina Braiter

Tłumaczenie: Paulina Braiter
Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda
Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku
Ilustracja na okładce: Jakub Schikaneder

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Paulina Breiter

ISBN 978-83-64416-93-4

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Prolog](#)

[I. Tchnienie grozy](#)

[II. Gość](#)

[III. Porównujemy nasze historie](#)

[IV. Jej nawyki — przewodnik](#)

[V. Zdumiewające podobieństwo](#)

[VI. Bardzo osobliwe cierpienia](#)

[VII. Otchłań](#)

[VIII. Poszukiwania](#)

[IX. Doktor](#)

[X. Osierocony](#)

[XI. Opowieść](#)

[XII. Prośba](#)

[XIII. Gajowy](#)

[XIV. Spotkanie](#)

[XV. Męka i egzekucja](#)

[XVI. Zakończenie](#)

[Przypisy](#)

Prolog

W liście dołączonym do niniejszej opowieści doktor Hesselius nakreślił dość złożoną historię, uzupełnioną odnośnikiem do jego własnej rozprawy na ów niezwykle temat, który ilustruje obecny rękopis.

Tajemniczy ów temat traktuje w swej rozprawie z właściwą sobie uczonością i wnikliwością, a także wyjątkowo otwarcie i zwięźle. Sama rozprawa stanowić będzie zaledwie jeden tom z serii dzieł zebranych owego niezwykłego człowieka.

Opisując ten przypadek wyłącznie gwoli rozrywki gawiedzi, w niczym nie umniejszam zasług relacjonującej go, błyskotliwej damy; a rozważywszy całą kwestię postanowiłem powstrzymać się przed przedstawianiem jakiegokolwiek podsumowania wyводу uczonego doktora ani wyjątków z jego oświadczenia na temat, który opisuje jako „choć niełatwo w to uwierzyć, dotyczący niektórych z głębszych arkanów naszego dwoistego istnienia i jego etapów pośrednich”.

Po odkryciu owego listu nie mogłem się już doczekać podjęcia korespondencji rozpoczętej wiele lat temu przez doktora Hasseliusa z osobą tak bystrą i skrupulatną, jaką zdawała się jego informatorka. Ku memu wielkiemu żalowi wszakże odkryłem, iż tymczasem zmarła.

Zapewne jednak nie uzupełniłaby zbyttnio opowieści, którą przekazuje nam na niniejszych kartach, uczyniła to bowiem, z tego co widzę, niezwykle akuratnie.

I. Tchnienie grozy

W Styrii, choć ród mój nie należy do najszlachetniejszych, mamy jednak własny zamek albo schloss, w tej części świata bowiem nawet niewielki dochód wystarcza na wiele. Osiem czy dziewięć setek rocznie to prawdziwa fortuna, choć w ojczyźnie raczej nie zaliczono by nas do majątnych. Mój ojciec jest Anglikiem, ja także noszę angielskie nazwisko, mimo iż nigdy nie widziałam Anglii. Tu jednak, w tej samotnej, prymitywnej okolicy, gdzie wszystko jest tak cudownie tanie, naprawdę nie widzę, jak większe dochody mogłyby powiększyć jeszcze nasz materialny dobrobyt czy wręcz luksus, w którym żyjemy.

Ojciec mój pracował w służbie austriackiej, zakończył pracę z rentą i spadkiem po ojcu, za który nabył tanio ową feudalną rezydencję i niewielki mająteczek, w którym stoi.

Trudno wyobrazić sobie miejsce urokliwsze i bardziej samotne. Zamek stoi na niewielkim wzniesieniu pośród lasu; gościniec, bardzo wąski i stary, biegnie mostem zwodzonym, którego za mej pamięci nigdy nie podnoszono, przez fosę, gdzie w wodzie pływają okonie, a po powierzchni łabędzie suną nieśpiesznie pośród niezliczonych białych lilii.

Nad tym wszystkim wznosi się fasada zamku o wielu oknach, jego wieże i gotycka kaplica.

Przed bramą las rozstępuje się, tworząc zjawiskową polanę nieregularnych kształtów. Po prawej stromym gotyckim mostem droga przeprowia się przez strumień, którego zakole niknie w mroku puszczy. Wspomniałam już, że to bardzo samotne miejsce. Sami osądźcie prawdziwość moich słów: Patrząc z drzwi frontowych, wychodzących na gościniec, mamy przed sobą las, ciągnący się na piętnaście mil w prawo i dwanaście w lewo. Najbliższa zamieszкана wioska leży niecałe siedem waszych angielskich mil po lewej; najbliższy schloss, mający jakiegokolwiek znaczenie historyczne, to siedziba starego generała Spielsdorfa, niemal dwadzieścia mil gościńcem w prawo. Powiedziałam „najbliższa zamieszкана wioska”, bo zaledwie trzy mile na zachód, to jest w stronę zamku generała, znajdziecie ruiny wsi z pozbawionym dachu przyjemnym kościółkiem, pośrodku którego stoją pokryte warstwą liszajów groby dumnego rodu Karnsteinów, obecnie wymarłego; niegdyś należał do nich równie zrujnowany chateau, który tkwiąc w leśnym gąszczu góruje nad milczącymi ruinami osady.

Co do powodu, dla którego ów uderzająco piękny i melancholijny zameczek został opuszczony, istnieje legenda, którą opowiem wam nieco później.

Na razie bowiem muszę wyjaśnić, jak maleńka jest grupa mieszkańców

naszego zamku. Nie uwzględniam w niej służby ani jej rodzin osiadłych w budynkach przyzamkowych. Słuchajcie zatem, a z pewnością się zdziwicie! Mój ojciec, najmilszy człek pod słońcem, lecz posunięty w lecach; oraz ja, w czasie gdy rozgrywała się ta historia, licząca sobie zaledwie dziewiętnaście wiosen. Od tego czasu minęło lat osiem.

We dwójkę z ojcem stanowiliśmy całą rodzinę zamieszkującą schloss. Moja matka, styryjska dama, zmarła, gdy byłam małeńka, miałam jednak poczciwą piastunkę towarzyszącą mi, mogę rzec, niemal od urodzenia. Już w najwcześniejszych wspomnieniach widzę jej krągłą, pogodną twarz.

Była to madame Perrodon pochodząca z Brna, której opieka i życzliwa natura wynagrodziły mi częściowo utratę matki zmarłej tak wcześnie, że w ogóle jej nie pamiętam. Jako trzecia zasiadała z nami przy stole. Czwarte krzesło zajmowała mademoiselle De Lafontaine, którą to damę można by określić mianem „guwernantki”. Mówiła po francusku i niemiecku, madame Perrodon po francusku i łamaną angielszczyzną, dodajmy do tego ojca, z którym rozmawialiśmy po angielsku, częściowo po to, by nie zapomnieć języka, a częściowo z przyczyn patriotycznych. W efekcie powstawała istna wieża Babel, z której śmieli się obcy, a której nie będę nawet usiłować odtworzyć w tej opowieści. Dopiszmy do tej listy dwie lub trzy młode, szlachetnie urodzone przyjaciółki niemal w moim wieku, odwiedzające nas z rzadka na dłużej bądź krócej. Ja zresztą rewanżowałam się podobnymi wizytami. Oto nasz najbliższy krąg towarzyski. Oczywiście od czasu do czasu odwiedzali nas także „sąsiedzi” mieszkający w promieniu pięciu, sześciu staj. W sumie możecie mi wierzyć, iż wiedłam raczej samotnicze życie.

Opiekunki były w stanie mnie okiełznać jedynie w stopniu, jakiego można oczekiwać po trzeźwo myślących osobach, mających do czynienia z dość rozpieszczoną dziewczyną, której samotny ojciec pozwalał niemal na wszystko.

Pierwsze wydarzenie, które wywarło na mnie niezwykle przejmujące wrażenie i odcisnęło się w pamięci niezatartym piętnem, było też jednym z pierwszych w moim świadomym życiu. Niektórzy z pewnością uznaliby je za drobnostkę, niewartą nawet wzmianki, przekonacie się jednak z czasem, dlaczego o nim wspominam. Pokój dziecinny, jak go nazywano, choć miałam go do swej wyłącznej dyspozycji, mieścił się w dużej komnacie na piętrze zamku, pod stromym dębowym dachem. Mogłam mieć najwyżej sześć lat, gdy pewnej nocy ocknęłam się i spoglądając z łóżka nie dostrzegłam służącej. Piastunki także nie było i sądziłam, że jestem sama. Nie bałam się, należałam bowiem do owych szczęśliwych dzieci, które rodzice wychowują w całkowitej nieświadomości istnienia opowieści o duchach, baśni i wszelkich historii sprawiających, iż słysząc nagłe skrzypienie drzwi zakrywamy kołdrą głowy, a gdy migotanie gasnącej świecy sprawia, że cień jednej z kolumniek baldachimu tańczy na ścianie przy

łóżku coraz bliżej naszych twarzy, drżymy ze strachu. Przyjęłam zatem to, jak sądziłam — porzucenie mojej osoby, wyłącznie z urazą i irytacją i zaczynałam właśnie płakać, szykując się do głośnego ataku złości, gdy ku swemu zdumieniu ujrzałam spoglądającą na mnie z boku poważną, lecz bardzo ładną twarz. Należała do młodej damy, klęczącej z dłońmi wsuniętymi pod kołdrę. Zerknęłam na nią z zadowoleniem i zdumieniem i przestałam szlochać. Pogłaskała mnie czule, a potem położyła się obok i z uśmiechem przytuliła do siebie. Natychmiast ogarnęła mnie kojąca błogość i znów zasnęłam. Obudziło mnie wrażenie, jakby dwie igły wbiły mi się bardzo głęboko w pierś, toteż krzyknęłam głośno. Dama odskoczyła spłoszona, nie odrywając ode mnie wzroku, a potem, jak sądziłam, pośliznęła się na podłodze i ukryła pod łóżkiem.

Wówczas to po raz pierwszy ogarnęło mnie przerażenie i zaczęłam krzyczeć z całych dziecięcych sił. Piastunka, służąca, gospodyni — wszystkie zjawily się pędem, a wysłuchawszy całej historii zaczęły z niej żartować i pocieszać mnie, jak tylko umiały. Lecz choć byłam dzieckiem, zauważyłam, że ich policzki pobladły, a na twarzach odbił się wyraźny niepokój. Dostrzegłam też, iż zaglądały pod łóżko, sprawdzały pokój, zerkały pod stoły i otwierały szafy, a gospodyni wyszeptała do piastunki:

— Przesuń ręką po zagłębieniu w łóżku; bez wątpienia ktoś rzeczywiście tam leżał, to pewne: miejsce to wciąż jest ciepłe.

Pamiętam, jak służąca głaskała mnie i jak we trzy oglądały moją pierś, gdy opowiedziałam im o podwójnym ukłuciu. Oznajmiły chórem, że nie znalazły żadnego śladu świadczącego, by coś takiego rzeczywiście mnie spotkało.

Gospodyni i dwie inne służące, opiekujące się pokojem dzieciennym, siedziały przy mnie przez resztę nocy i od tego dnia aż do czasu, gdy skończyłam lat czternaście, ktoś ze służby co noc czuwał przy moim łóżku.

Przez długi czas po tym wydarzeniu zrobiłam się lękliwa. W końcu wezwano doktora, bladego, starszego mężczyznę. Doskonale pamiętam jego pociągłą, posępną twarz z kilkoma bliznami po ospie i kasztanową perukę. Przez długi czas przyjeżdżał co drugi dzień i podawał mi lekarstwo, którego rzecz jasna nie znosiłam.

Rankiem po tym, jak ujrzałam owo widmo, zdjeta grozą nie mogłam znieść myśli, że choćby na chwilę mogłabym zostać sama, nawet w blasku dnia.

Pamiętam, jak ojciec podszedł do łóżka, mówiąc do mnie wesoło i zadał piastunce serię pytań, zaśmiewając się serdecznie z jednej z odpowiedzi. Potem poklepał mnie po ramieniu, ucałował i rzekł, że nie ma się co bać, że to tylko sen i nie mógł mnie skrzywdzić.

Ale wcale mnie nie pocieszył, bo wiedziałam, że odwiedziny owej nieznaney kobiety nie były snem i okrutnie się bałam.

Odrobinę uspokoiły mnie zapewnienia służącej, że to ona przyszła, spojrzała na mnie i położyła się obok w łóżku, a ja musiałam w półśnie nie rozpoznać jej twarzy. Lecz choć piastunka potwierdziła jej opowieść, historia ta mnie nie zadowoliła.

Pamiętam jak owego dnia w pokoju dzieciennym zjawił się czcigodny staruszek w czarnej sutannie — przyszedł wraz z piastunką i gospodynią, zamienił z nimi kilka słów, a potem zwrócił się do mnie bardzo łagodnym tonem. Twarz miał słodką i miłą; oznajmił, że się pomodlą, złączył moje dłonie i poprosił, bym powiedziała cicho w czasie ich modlitwy:

— Panie, w imię Jezusa, wysłuchaj wszystkich dobrych ludzi, którzy modlą się za nas.

Tak chyba brzmiały jego słowa i często powtarzałam je do siebie, a piastunka przez kilka lat kazała mi je dołączać do modlitwy.

Doskonale zapamiętałam mądre i słodkie oblicze owego siwowłosego starca w czarnej sutannie, stojącego w wysokim, niegościnnym, brązowym pokoju, wśród niezgrabnych mebli, które wyszły z mody trzysta lat wcześniej, w słabym świetle wnikałym do mrocznego wnętrza przez niewielkie zakratowane okienko. Ukląkł, trzy kobiety poszły w jego ślady i zaczął modlić się głośno szczerym, łamiącym się głosem. Zdawało mi się, że trwało to całe wieki. Zapomniałam całe swe życie przed owym wydarzeniem, a okres po nim też skryła niepamięć, lecz sceny, które właśnie opisałam, odcisnęły się niezatartym piętnem, niczym samotne fantasmagorie w morzu ciemności.

II. Gość

Teraz opowiem wam coś tak osobliwego, że jedynie zakładając moją absolutną prawdomówność zdołacie być może uwierzyć w tę historię. Jest jednak absolutnie prawdziwa i, co więcej, byłam jej naocznym świadkiem.

Działo się to pewnego pogodnego, letniego wieczoru. Ojciec, jak czasem mu się to zdarzało, poprosił bym przespacerowała się z nim, podziwiając malowniczy leśny widok rozciągający się przed zamkiem, o których już wspominałam.

— Generał Spielsdorf nie może zjawić się u nas tak wcześnie, jak liczyłem — oznajmił, nie zwalniając kroku.

Generał miał nam złożyć kilkutygodniową wizytę i oczekiwaliśmy go następnego dnia. Miał ze sobą przywieźć młodą damę, swą siostrzenicę i podopieczną, mademoiselle Rheinfeldt, której nie miałam jeszcze okazji poznać, lecz słyszałam, że to niezwykle urocza osóbka, toteż obiecywałam sobie wiele wspólnych radosnych dni, więc zawód, jaki odczułam, był znacznie boleśniejszy, niż mogłaby sądzić młoda dama mieszkająca w mieście bądź w ruchliwym miasteczku. Wizyta ta i nowa znajomość od wielu tygodni stanowiła obiekt mych marzeń.

— A jak szybko przybędzie? — spytałam.

— Najwcześniej jesienią, śmiem twierdzić, że upłyną co najmniej dwa miesiące — odparł. — I teraz niezmiernie się cieszę, kochanie, że nie zdążyłaś poznać mademoiselle Rheinfeldt.

— Czemuż to? — spytałam, zdumiona i wstrząśnięta.

— Ponieważ biedactwo nie żyje — odparł. — Zapomniałem ci wcześniej o tym wspomnieć, ale też nie było cię w pokoju, gdy wieczorem dostarczono list od generała.

Słuchałam oszołomiona. W pierwszym liście sprzed sześciu czy siedmiu tygodni generał Spielsdorf wspominał co prawda, że siostrzenica czuje się nie najlepiej, ale nic w żaden sposób nie sugerowało zagrożenia życia.

— Oto list generała — ojciec wręczył mi go. — Obawiam się, że przeżył ogromny wstrząs; odnoszę wrażenie, jakby pisząc go odchodził od zmysłów.

Usiedliśmy na prostej ławce, pod koronami bujnych, wyniosłych lip. Słońce zachodziło w melancholijnym przepychu za horyzontem puszczy, a strumień płynący obok naszego domu i dalej pod stromym starym mostem, o którym wspominałam, wił się pośród szlachetnych drzew niemal u naszych stóp, odbijając gasnące, szkarłatne niebo. List generała Spielsdorfa okazał się tak niezwykle, tak gorączkowy i w pewnych miejscach tak niespójny, że odczytałam go dwukrotnie —

po raz drugi na głos ojcu — i wciąż nie mogłam go zrozumieć, poza faktem, iż rozpacz odebrała mu rozum.

Oto i on:

„Straciłem moją najdroższą córeczkę, kochałem ją bowiem jak własną. Przez ostatnie dni choroby najdroższej Berthy nie byłem w stanie do ciebie napisać.

Wcześniej nie miałem pojęcia o grożącym jej niebezpieczeństwie. Straciłem ją i dopiero teraz dowiedziałem się o wszystkim, zbyt późno jednak. Zgasła w spokoju, nieświadoma, w nadziei błogosławionej przyszłości. Dokonał tego ohydny stwór, który zdradził naszą naiwną gościnność. Sądziłem, że przyjmuję w swoim domu uosobienie radości i niewinności, czarującą towarzyszkę dla mej utraconej Berthy. O niebios! Jakimż byłem głupcem!

Dziękuję Bogu, że moje dziecko zmarło bez cienia podejrzenia, co wywołało jej chorobę. Odeszła nie pojmując jej natury ani przeklętej namiętności, która stała się przyczyną tego nieszczęścia. Resztę swych dni poświęcę na wytropienie i unicestwienie potwora. Istnieje ponoć szansa, iż dokonam tego zbożnego, miłosiernego dzieła. Obecnie dostrzegam jedynie słaby promyk światła, wskazującego drogę. Przeklinam własne zadufanie i niewiarę, godne pogardy poczucie wyższości, ślepotę i upór. Za późno jednak. Nie potrafię teraz pisać ze spokojem i opanowaniem, jestem zbyt roztrzęsiony. Gdy tylko dojdę do siebie, zamierzam poświęcić cały swój czas badaniom, które być może zawiodą mnie aż do Wiednia. Jesienią natomiast, za dwa miesiące czy nawet wcześniej, jeśli dożyję, spotkam się z tobą — o ile rzecz jasna zechcesz mnie przyjąć. Wówczas opowiem ci o wszystkim, czego na razie nie śmiem przelać na papier. Żegnaj. Módl się za mnie, mój drogi przyjacielu.”

Tymi słowy kończył się ów niezwykle list. Choć nigdy nie widziałam Berthy Rheinfeldt, oczy me napełniły się łzami na ową nagłą wieść. Byłam zaskoczona, a także dogłębnie zawiedziona.

Słońce już zaszło i gdy oddałam ojcu list generała, wokół zapadał zmrok. Wieczór był jasny i pogodny, toteż nie śpieszyliśmy się z powrotem, zastanawiając się na głos nad możliwym znaczeniem owych gwałtownych, sprzecznych ze sobą słów, które dopiero co odczytałam. Musieliśmy przejść niemal milę, nim dotarliśmy do drogi mijającej schloss. Do tego czasu na niebo wzeszedł już jasny księżyc. Przy moście zwodzonym spotkaliśmy madame Perrodon i mademoiselle De Lafontaine, które wyszły bez czepków, by rozkoszować się blaskiem księżyca.

Zbliżając się słyszeliśmy ich głosy, rozmawiały z ożywieniem. Dołączyliśmy do nich na moście i odwróciliśmy się, by razem podziwiać przepiękny widok.

Przed nami rozciągała się polana, przez którą właśnie przeszliśmy. Po lewej wąski gościniec okrężał kępy majestatycznych drzew i niknął nam z oczu w gęstniejącej puszczy. Po prawej ta sama droga przecinała stromy, malowniczy

most, obok którego stała ruina wieży, niegdyś strzegącej przeprawy; za mostem wyrastało strome wzgórze porośnięte drzewami, między którymi pośród cieni widać było szare skały okryte płaszczem bluszczu.

Tuż ponad łąką i ziemią snuła się cienka warstwa mgły, szarej jak dym, znacząca odległość przejrzystym woalem; tu i tam widzieliśmy słabe błyski rzeki migoczącej w promieniach księżyca. Trudno sobie wyobrazić słodsza, bardziej urokliwą scenę. Wieści, które właśnie usłyszałam, przydały jej melancholii, lecz nic nie zdołało zakłócić nastroju przejmującego spokoju, magicznego uroku i odrealnienia owego krajobrazu.

Ojciec mój, który lubił sycić oczy pięknem, stał wraz ze mną, patrząc w milczeniu na srebrzyste połacie. Dwie poczciwe guwernantki przystały nieco dalej, dyskutując zawzięcie i opiewając kwieciście uroki księżyca.

Madame Perrodon była tłusta, w średnim wieku i romantyczna; wzdychała i przemawiała poetycznym tonem. Mademoiselle De Lafontaine, która wrodziła się w ojca Niemca, ponoć wielce interesującego się psychologią i metafizyką, uznawanego za mistyka, oznajmiła teraz, że gdy księżyc świeci tak mocno, wiadomo powszechnie, iż wywołuje szczególną aktywność duchową. Jeśli zaś do dodatkowo jest w pełni, wpływ ów jeszcze się zwielokrotnia, oddziałując na sny, na szaleńców, na ludzi nerwowych, a także fizycznie na wszystko, co żyje. Mademoiselle opisała, jak jej kuzyn, oficer na statku handlowym, zdrzemnąwszy się na pokładzie właśnie w taką noc, leżąc na wznak z twarzą skąpaną w blasku księżyca, ocknął się po koszmarnym śnie o starusze, która szponami rozorała mu policzki, z twarzą wykrzywioną na bok w straszliwym grymasie, i jego oblicze nigdy nie odzyskało pełnej równowagi.

— Księżyc w tę noc — rzekła — pełen jest mocy idyllicznych i magnetycznych — i spójrzcie, gdy obejrzyjecie się na fronton zamku, wszystkie jego okna błyskają i iskrzą się srebrzystą łuną, jakby niewidzialne ręce zapaliły w nich światło na przyjęcie magicznych gości.

Czasem ogarnia nas dziwna niemoc ducha, gdy sami nie mając ochoty na rozmowę, z przyjemnością przysłuchujemy się rozmowom innych. Patrzyłam zatem dalej, radując się dźwiękami konwersacji obu dam.

— Czuję, jak znów ogarnia mnie posępny nastrój — oznajmił mój ojciec po chwili milczenia, po czym, cytując Szekspira, którego często czytał głośno, pielęgnując naszą angielszczyznę, dodał:

Prawdziwie, nie wiem, dlaczego tak smutny;

I siebie, i was, jak mówicie, nudzę;

Ale jak na mnie spadła ta tęsknota...[\[1\]](#)

— Reszty zapomniałem. Mam jednak wrażenie, jakby zawisło nad nami jakieś wielkie nieszczęście. Zapewne ma z tym coś wspólnego ów szalony list biedaka

generała.

W tym momencie naszą uwagę przykuł niespodziewany turkot kół powozu i tętent wielu kopyt.

Dźwięki owe zdawały się zbliżać ku nam ze wzgórza górującego nad mostem. Wkrótce istotnie pojawił się tam ekwipaż. Najpierw przez most przemknęli dwaj jeźdźcy, potem powóz zaprzężony w czwórkę koni i w końcu dwaj kolejni.

Wyglądało to jak powóz podróżny kogoś znacznego i wszystkich nas natychmiast zafascynowało owo niezwykle widowisko, które po kilku chwilach stało się nagle znacznie ciekawsze, w chwili bowiem, gdy powóz pokonał najwyższy punkt stromego mostu, jeden z koni spłoszył się, strasząc pozostałe i po paru krokach cały zaprzęg puścił się szaleńczym galopem, by przemknąwszy między jeźdźcami, runąć z grzmotem drogą z chyżością huraganu — prosto ku nam.

Dramatyzm owej sceny potęgowały jeszcze wyraźne i przeciągłe kobiece krzyki, dobiegające z okna powozu.

Wszyscy zbliżyliśmy się z ciekawością i zgrozą, ja w milczeniu, reszta pokrzykując z lękiem.

Niedługo mieliśmy trwać w niewiedzy. Tuż przed dotarciem do zamkowego mostu zwodzonego, przy drodze, którą pędził ku nam powóz, stoi wspaniała lipa srebrzysta, a naprzeciw niej pradawny kamienny krzyż. Na jego widok konie, galopujące w iście przerażającym tempie, skrzyły gwałtownie, tak że koło pojazdu natrafiło na węzłasty korzeń drzewa.

Wiedziałam, co się zaraz stanie. Zasłoniłam oczy, nie chcąc tego oglądać i odwróciłam głowę. W tej samej chwili usłyszałam krzyk moich towarzyszek, trwał dość długo.

W końcu wiedziona ciekawością uniosłam powieki i ujrzałam przed sobą scenę absolutnego chaosu. Dwa z koni leżały na ziemi, powóz wywrócił się na bok z dwoma kołami w powietrzu. Mężczyźni krzatali się, zdejmując pospiesznie uprząż z zaprzęgu, a dama o wyniosłej postawie i postaci wysiadła z ekwipażu i stała obok, zaciskając dłonie; od czasu do czasu unosiła do oczu tkwiącą w nich chusteczkę.

Przez drzwi powozu służący wynieśli młodą pannę, jak się zdawało, zupełnie pozbawioną życia. Mój kochany, stary ojciec z kapeluszem w dłoniach stał już u boku starszej damy, wyraźnie oferując jej swoją pomoc i schronienie w zamku. Dama jakby go nie słyszała: całą uwagę skupiała wyłącznie na smukłej dziewczynie, którą mężczyźni ułożyli wspartą o skarpe.

Podeszłam bliżej: młoda dama okazała się ogłuszona, ale z całą pewnością żywa. Ojciec mój, mający się za kogoś w rodzaju lekarza, przyłożył jej właśnie palce do przegubu i zapewnił damę, która mieniła się jej matką, iż puls, choć słaby i nieregularny, wciąż daje się z łatwością wyczuć. Dama spłótła dłonie i na moment

uniosła wzrok, jakby w podzięce, natychmiast jednak zaczęła donośnie rozpaczać z iście teatralną manierą, jak mniemam naturalną dla pewnego typu ludzi.

Można ją było niewątpliwie nazwać niewiastą postawną i jak na jej wiek przystojną: wysoką, lecz nie chudą, odzianą w czarny aksamit; z dość bladą, lecz dumną, wyniosłą twarzą, choć obecnie dziwnie poruszoną.

— Och, czemuż wciąż spadają na mnie najgorsze nieszczęścia? — gdy się zbliżyłam, usłyszałam jak mówi, zaciskając palce. — Oto wyruszyłam w podróż decydującą o życiu i śmierci, w której utrata nawet godziny może oznaczać stratę wszystkiego. Nie wiem, ile czasu trzeba, by moje dziecko doszło do siebie dostatecznie, by podjąć jazdę. Muszę ją zostawić, nie śmiem, nie ważę się zwlekać. Miły panie, jak daleko stąd do najbliższej wioski? Muszę ją tam zostawić i nie zobaczę się z nią aż do mego powrotu za trzy miesiące; nie będę mieć nawet żadnych wieści.

Pociągnęłam poły płaszcza ojca i wyszeptałam mu do ucha:

— Och, papo, błagam, poproś by pozwoliła jej zostać u nas! Będzie tak cudownie. Proszę cię, zrób to!

— Jeśli madame zechce powierzyć swe dziecko pieczy mojej córki i jej poczciwej piastunki, madame Perrodon i zgodzi się, by pozostała naszym gościem, pod moją opieką aż do jej powrotu, uczyni nam ogromną, nieocenioną przysługę, a my zajmiemy się nią z całą czułością i oddaniem, na jakie zasługuje podobne zaufanie.

— Nie mogę tego zrobić, miły panie; zbyt okrutnie wykorzystałabym waszą łaskawość i szlachetność — odparła nerwowo dama.

— Wręcz przeciwnie, oznaczałoby to uczynienie nam ogromnej przysługi w chwili, gdy najbardziej jej potrzebujemy. Moja córka przeżyła właśnie bolesny zawód, gdy w wyniku okrutnego zrzędzenia losu nie doszła do skutku wizyta, której od dawna wyczekiwała z wielką nadzieją. Jeśli zatem powierzysz pani młodą damę naszej pieczy, najlepiej ją pocieszysz. Najbliższa wioska na tej drodze leży daleko i brak w niej gospody, w której mogłabyś umieścić córkę, zaś dalsza dłuższa podróż wiązałaby się dla niej z niebezpieczeństwem. Skoro, jak twierdzisz, nie możesz przerwać jazdy, musisz pani rozstać się dziś wieczór z córką, a nikt nie zapewni jej lepszej opieki i troski, niż my tutaj.

W zachowaniu i postawie damy było coś tak eleganckiego, wręcz wyniosłego, a w jej mowie ujmującego, iż nie trzeba było bogatego ekwipażu, by pojąć, że ma się do czynienia z ważną osobistością.

Tymczasem służba zdołała postawić już powóz i znów zaprząc do niego uspokojone konie.

Dama posłała swej córce spojrzenie, które wydało mi się nie aż tak czułe, jak można by oczekiwać po początku owej sceny. Potem skinęła lekko na mego ojca i

wycofała się z nim dwa, trzy kroki, poza zasięg naszego słuchu. Przez chwilę przemawiała z surową, poważną miną, zupełnie nie pasującą do wcześniejszych słów.

Zdumiało mnie, iż mój ojciec najwyraźniej nie dostrzegł owej zmiany. Poczułam także niewypowiedzianą ciekawość, o czym nieznajoma mówi doń niemal do ucha z tak wielkim zapałem i szybkością.

Trwało to wszystko najwyżej dwie, trzy minuty, potem zawróciła i postąpiwszy kilka kroków znalazła się w miejscu, gdzie leżała córka, podtrzymywana przez madame Perrodon. Dama uklękła obok niej na moment i wyszeptała jej coś do ucha — madame sądziła, iż krótkie błogosławieństwo. Potem, pospiesznie ucałowawszy leżącą, wsiadła do powozu; zatrzaśnięto drzwiczki, służący w bogatych liberiach wskoczyli na tylny pomost, jeźdźcy spięli wierzchowce, woźnice strzelili z batów. Konie puściły się nagle gwałtownym cwałem, który lada moment mógł się przerodzić w galop i ekwipaż odjechał, a za nim równie szybko dwójka zamykających pochód konnych.

III. Porównujemy nasze historie

Odprowadziliśmy orszak wzrokiem, póki nie rozplynął się wkrótce pośród leśnej mgły, a tętent kopyt i turkot kół nie ucichł w milczącym nocnym powietrzu.

Nie pozostało nic, co świadczyłoby o tym, iż cała przygoda nie była jedynie złudzeniem chwili — prócz młodej damy, która w tym momencie otworzyła oczy. Nie widziałam jej, bo twarz miała odwróconą, uniosła jednak głowę, wyraźnie szukając kogoś wzrokiem i usłyszałam bardzo słodki głos pytający z bólem:

— Gdzie moja mama?

Nasza poczciwa madame Perrodon odpowiedziała czule i zaczęła pocieszać ją szybko.

— Gdzie ja jestem? — pytała dalej nieznajoma. — Co to za miejsce? — A potem: — Nie widzę powozu. A Matka, gdzie ona?

Madame odpowiadała na wszystkie jej pytania na tyle, na ile umiała i stopniowo młoda kobieta przypomniawszy sobie ów niefortunny wypadek i ucieszyła się słysząc, że nikt z powozu ani jego towarzyszy nie ucierpiał. Dowiedziawszy się zaś, iż matka zostawiła ją tutaj aż do powrotu za trzy miesiące, zapłakała.

Zamierzałam dołączyć się do pocieszeń madame Perrodon, gdy mademoiselle De Lafontaine położyła mi dłoń na ramieniu.

— Nie podchodź, w tej chwili nie zdoła rozmawiać z więcej niż jedną osobą. Nawet niewielkie podniecenie wnet odebrałoby jej siły.

Gdy tylko znajdzie się w wygodnym łożu, pomyślałam, pobiegnę do jej pokoju.

Ojciec tymczasem wyprawił sługę na koniu po lekarza, który mieszkał dwie staje od nas. Pokojówki przygotowały sypialnię na przyjęcie młodej damy.

Nieznajoma w końcu wstała i wsparta na ramieniu madame ruszyła powolnym krokiem przez most zwodzony i zamkową bramę.

W sieni czekała na nią służba, która zaprowadziła ją natychmiast do jej pokojów. Komnata, która zwykle służy nam za salon, jest długa, ma cztery okna wychodzące na fosę i most oraz leśną scenę, którą dopiero co opisałam. Stoją w niej stare, rzeźbione dębowe meble, wielkie szafki i krzesła wyściełane szkarłatnym aksamitem z Utrechtu. Ściany pokrywa gobelin oprawiony w wielką złotą ramę; postaci przedstawione na nim, wielkości naturalnej, odziane w pradawne, wielce osobliwe kostiumy, zajęte są łowami, sokolnictwem i innymi rozrywkami. Jest to pomieszczenie nie tyle eleganckie, co wielce przytulne, podają w nim podwieczorki. Ojciec z właściwym sobie patriotycznym zacięciem nalega, by prócz kawy i czekolady serwowano także narodowy angielski napój: herbatę.

Tego wieczoru zasiedliśmy tam i po zapaleniu świec zaczęliśmy rozmawiać o

wcześniejszych wydarzeniach.

Towarzyszyły nam madame Perrodon i mademoiselle De Lafontaine. Młoda nieznajoma, zaledwie legła w łożu, zapadła w głęboki sen, toteż obie damy zostawiły ją pod pieczę służącej.

— Jak wam się podoba nasz gość? — spytałam, gdy tylko zjawiała się madame. — Opowiedzcie mi o niej wszystko!

— Jest niezwykle czarująca — odparła madame. — To chyba najpiękniejsze stworzenie, jakie miałam okazję oglądać. W twoim wieku, wielce łagodna i miła.

— Jest niewiarygodnie piękna — wtrąciła mademoiselle, która na moment zajrzała do komnaty nieznajomej.

— I cóż za słodki głos! — dodała madame Perrodon.

— Czy po tym, jak postawili powóz, zauważyliście siedzącą w nim kobietę, która nie wysiadła — spytała mademoiselle — lecz jedynie wyjrzała przez okno?

— Nie, nie widziałyśmy jej.

Wówczas opisała nam odrażającą, czarną niewiastę w kolorowym turbanie na głowie, cały czas wyglądającą przez okno powozu, kiwającą głową i uśmiechającą się wzgardliwie do obu dam. Jej oczy lśniły, wielkie białka błyskały spod powiek, a zęby szczyrzyły się w gniewnym grymasie.

— Zauważyliście, jak niezdrowi zdawali się wszyscy służący? — spytała madame.

— Tak — odparł ojciec, który właśnie wszedł. — Nigdy nie widziałem równie paskudnej bandy obwiesiów, mam nadzieję, że nie obrabują w lesie tej nieszczęsnej damy. Sprytni z nich jednak łajdacy: w ciągu kilku minut zdołali wszystko naprawić.

— Śmiem twierdzić, że wyczerpała ich zbyt długa podróż — wtrąciła madame. — Ich zbójeckie twarze były też dziwnie wychudzone, pociemniałe i zmęczone. Przyznaję, trawi mnie ciekawość, tuszę jednak, iż młoda dama, gdy już dojdzie do siebie, opowie nam jutro o wszystkim.

— Wątpię, czy to robi — rzekł mój ojciec z tajemniczym uśmiechem i lekko skinął głową, jakby wiedział więcej, niż zdecydował się ujawnić.

To jeszcze bardziej podsyciło naszą ciekawość co do słów, jakie zamienił z damą w czarnym aksamicie, podczas krótkiej, pospiesznej rozmowy poprzedzającej jej odjazd. Ledwie zostaliśmy sami poprosiłam, by powtórzył mi wszystko. Nie potrzebował zbytnej zachęty.

— Nie ma właściwie powodów, dla których nie miałbym ci powiedzieć. Dama wyraziła niechęć obciążania nas opieką nad córką, mówiąc, że jest ona delikatnego zdrowia i nerwowa, lecz nie cierpi na żadne ataki — sama to dodała — ani omamy, i w istocie pozostaje całkiem zdrowa na umyśle.

— Cóż za osobliwa uwaga! — wtrąciłam. — I zupełnie zbędna.

— Tak czy inaczej, słowa te padły — odparł ze śmiechem — a skoro chciałaś usłyszeć o wszystkim, powtarzam i je, w sumie bowiem nie było tego wiele. Potem nieznajoma rzekła: „Podróżuję daleko w sprawie niezmiernej wagi — podkreśliła ostatnie słowo. — Szybko i w sekrecie. Za trzy miesiące wrócę po me dziecko, tymczasem zachowam w tajemnicy to kim jesteśmy, skąd pochodzimy i dokąd zmierzałyśmy.” Nie dodała nic więcej. Mówiła bardzo czystą francuszczyzną, a gdy wypowiedziała słowo „w tajemnicy”, na parę sekund zawiesiła głos patrząc mi srogo prosto w oczy. Najwyraźniej kładła na nie wielki nacisk. Widziałas, jak szybko odjechała. Mam nadzieję, że nie postąpiłem nierozsądnie, podejmując się opieki nad tą młodą panną.

Ze swej strony wielce się radowałam, nie mogłam się już doczekać chwili, gdy ujrzę nieznajomą i pomówię z nią. Czekałam tylko na zgodę doktora. Wy, którzy mieszkacie w miastach, nie macie pojęcia, jak wielkim wydarzeniem jest poznanie nowej przyjaciółki w takiej samotni, w jakiej przyszło nam żyć.

Doktor zjawił się dopiero przed pierwszą w nocy, nie byłam jednak w stanie położyć się i zasnąć. Równie dobrze mogłabym próbować wyprzedzić pieszo powóz, w którym odjechała księżniczka w czarnych aksamitach.

Gdy lekarz zszedł do salonu, przyniósł same dobre wieści na temat swojej pacjentki. Siadała już na łóżku, puls miała regularny i najwyraźniej doskonale się czuła. Nie odniosła żadnych obrażeń, a niewielki wstrząs nerwowy minął bez szkody. Jeśli obie zechcemy, oczywiście mogę ją zobaczyć. Usłyszawszy to, natychmiast posłałam służącą, aby spytać, czy pozwoli mi się odwiedzić na kilka minut w sypialni.

Służąca wróciła natychmiast z wieścią, że panna nie pragnie niczego innego.

Możecie być pewni, że nie zwlekałam z wykorzystaniem owej zgody.

Nieznajoma leżała w jednej z najpiękniejszych komnat zamku, być może urządzonej nieco zbyt dostojnie. Naprzeciw łoża wisiał ponury gobelin, przedstawiający Kleopatę tulącą do łona żmiję. Na innych ścianach przedstawiono nieco wyblakłe, posępne sceny z klasyki, lecz złote rzeźbienia oraz bogate, głębokie kolory innych ozdób aż nadto rekompensowały posępny nastrój starych tkanin.

Przy łożu płonęły świece. Nieznajoma siedziała; jej smukłą, zgrabną postać okrywał miękki, jedwabny peniuar, haftowany w kwiaty i podbity grubym, pikowanym adamaszkiem — matka narzuciła go jej na stopy, gdy dziewczyna leżała na ziemi.

Cóż tedy sprawiło, że dotarwszy do łoża, zamiast powitać ją ciepło, na moment oniemiałam i cofnęłam się gwałtownie? Zaraz wam powiem.

Ujrzałam bowiem tę samą twarz, która nawiedziła mnie w nocy w dzieciństwie i odcisnęła się w mojej pamięci; którą tak wiele razy wspominałam ze zgrozą, gdy nikt nie podejrzewał nawet, o czym myślę.

Była ładna, wręcz piękna, a kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, miała ten sam melancholijny wyraz.

Niemal natychmiast jednak rozjaśnił ją niezwykle, pełen napięcia uśmiech, świadczący, że mnie rozpoznała.

Po długiej minucie milczenia nieznajoma odezwała się w końcu; ja nie byłam w stanie.

— Jakież to cudowne! — wykrzyknęła. — Dwanaście lat temu widziałam twoją twarz we śnie i od tej pory nawiedza mnie we wspomnieniach.

— Istotnie cudowne — powtórzyłam, z trudem pokonując grozę, która na moment odebrała mi głos. — Dwanaście lat temu w wizji bądź rzeczywistości z całą pewnością ujrzałam ciebie; nigdy nie zapomniabym twojej twarzy. Od tego czasu wciąż mam ją przed oczami.

Jej uśmiech złagodniał. Cokolwiek kryło się w nim dziwnego, zniknęło, a na policzkach owej uroczej, bystrej twarzy pokazały się dołeczki.

Z większą już otuchą podjęłam przerwane powitanie, którego wymagała gościnność, mówiąc jak mile jest widziana i jak wielką radość sprawiło jej przypadkowe przybycie nam wszystkim, a zwłaszcza mnie samej.

Mówiąc ujęłam jej dłoń — mimo iż, jak często ludzie samotni, byłam dość nieśmiała, sytuacja dodała mi odwagi i uczyniła wymowną. Nieznajoma ścisnęła moją rękę, położyła na niej swoją, jej oczy rozbliły, na moment zerknęła w moje i znów uśmiechnęła się, zarumieniona.

Bardzo uprzejmie odpowiedziała na słowa powitania. Usiadłam obok niej, wciąż zadziwiona.

— Muszę opowiedzieć ci moją wizję — rzekła. — To takie dziwne, że każdą z nas nawiedził tak barwny i wyraźny sen o drugiej i że każda z nas ujrzała w nim drugą wyglądającą tak jak teraz, choć oczywiście obie byłyśmy zaledwie dziećmi. Miałam wówczas jakieś sześć lat. Ocknęłam się z męczących, niepojętych snów i odkryłam, że jestem w pokoju niepodobnym do mego własnego, z prostą boazerią z ciemnego drewna, pełnym szafek, stolików, krzeseł i ław. Wydało mi się, iż wszystkie łóżka są puste, a w samym pomieszczeniu nie ma nikogo prócz mnie. Porozglądawszy się zatem przez chwilę — podziwiałam zwłaszcza żelazny lichtarz z dwoma odgałęzieniami, który z pewnością rozpoznałabym i dzisiaj — wśliznęłam się pod jedno z łóżek, by dotrzeć do okna. Gdy jednak wyłoniłam się spod niego, usłyszałam czyjś płacz i patrząc w górę, wciąż na klęczkach, zobaczyłam ciebie — z całą pewnością ciebie — taką jaką cię widzę teraz: piękną młodą damę o złotych włosach i wielkich błękitnych oczach i ustach — twoich ustach — taką jaką widzę cię tutaj.

Twoja uroda mnie zachwyciła. Wśliznęłam się do łóżka i objęłam cię ramionami, zdaje mi się, że obie zasnęłyśmy. Obudził mnie krzyk, siedziałaś i

krzyczałaś. Przeraziłam się i zsunęłam na ziemię. Wówczas wydało mi się, że na moment tracę świadomość, a kiedy się ocknęłam, znów byłam we własnym pokoju dzieciennym. Od tej pory nie zapomniałam twojej twarzy. Nie zmyliłoby mnie zwykłe podobieństwo. Ty jesteś panną, którą wówczas ujrzałam.

Teraz nadeszła moja kolej, by opisać własną wizję. Uczyniłam to ku nieskrywanemu zdumieniu nowej znajomej.

— Nie wiem, która z nas powinna bardziej bać się drugiej — oznajmiła z uśmiechem. — Gdybyś była mniej ładna, chyba bym się ciebie lękała, ale sprawy mają się inaczej. A skoro obie jesteśmy młode, uznam po prostu, że poznałam cię dwanaście lat temu i mam prawo do twojej przyjaźni. Wygląda wręcz na to, iż od najwcześniejszego dzieciństwa było nam pisane zaprzyjaźnić się ze sobą. Zastanawiam się, czy i ty czujesz równie dziwne przyciąganie do mojej osoby, jak ja do twojej. Nigdy dotąd nie miałam przyjaciółki — czyżbym ją teraz znalazła? — Westchnęła i jej piękne, ciemne oczy spojrzały na mnie namiętnie.

Prawdę mówiąc, istotnie odczuwałam niezrozumiały pociąg ku owej pięknej nieznajomej, jak mówiła „dziwne przyciąganie”, ale też coś jakby odrazę. W tych sprzecznych odczuciach jednak zwyciężył pociąg: zafascynowała mnie i zdobyła me serce. Była tak piękna i tak nieopisanie fascynująca.

Zauważyłam w jej zachowaniu pewną powolność i wyczerpanie, toteż pożegnałam się pospiesznie.

— Doktor uważa — dodałam — że ktoś powinien czuwać przy tobie dziś w nocy. Nasza służąca czeka i z pewnością okaże się bardzo cicha i użyteczna.

— To niezmiernie miłe z twojej strony, ale nie mogłabym zasnąć. Nigdy nie umiałam zasnąć w czyjejs obecności. Nie wymagam pomocy i przyznam ci się też do pewnej słabości: dręczy mnie ogromny lęk przed rabusiami. Niegdyś okradziono nasz dom i zamordowano dwoje ze służby; odtąd zawsze zamykam drzwi na klucz. Weszło mi to w nawyk, a ty wyglądasz tak życzliwie, iż wiem, że mi wybaczysz. Widzę zresztą, że w zamku tkwi klucz.

Przez chwilę tuliła mnie do siebie w swych zgrabnych ramionach.

— Dobranoc, najdroższa — wyszeptała mi do ucha. — Bardzo mi trudno rozstać się z tobą, ale dobranoc. Jutro, choć nie wcześniej, znów się zobaczymy.

Z westchnieniem opadała na poduszki i piękne oczy odprowadziły mnie czułym, melancholijnym spojrzeniem.

— Dobranoc — wymamrotała znów — droga przyjaciółko.

Młodzi ludzie bardzo szybko odczuwają sympatię, wręcz miłość. Pochlebiała mi niewątpliwa, choć jak dotąd niezasłużona czułość, jaką mi okazała. Spodobała się pewność, z jaką przyjęła mnie natychmiast. Zdecydowanie zależało jej, abyśmy bardzo się zaprzyjaźniły.

Nastał następny dzień i znów się spotkałyśmy. Moja towarzyszką naprawdę

mnie zachwycała, to znaczy pod wieloma względami.

Jej uroda nie straciła w blasku dnia — była niewątpliwie najpiękniejszą istotą, jaką zdarzyło mi się oglądać, a nieprzyjemne wspomnienie owej twarzy, obecnej we śnie z dzieciństwa, straciło swą moc po pierwszym wstrząsie.

Wyznała, że i ona przeżyła podobny szok na mój widok i poczuła identyczną, lekką antypatię, łączącą się z zachwytem. Teraz obie śmiałyśmy się z przeżytej chwili grozy.

IV. Jej nawyki — przewodnik

Wspominałam już, że większość rzeczy w nowej towarzyszce budziło mój zachwyty.

Kilka jednak mi się nie spodobało.

Wzrostem przewyższała większość kobiet. Zacznę od jej opisu.

Była smukła i cudownie wdzięczna, prócz faktu, że poruszała się nieco powolnie — bardzo powolnie, nic w jej wyglądzie nie wskazywało na chorobę. Cerę miała jasną i rumianą, rysy drobne i pięknie ukształtowane, oczy wielkie, ciemne i błyszczące, włosy prześliczne, nigdy dotąd nie widziałam podobnie gęstych i długich, gdy opadały jej na ramiona. Często wsuwałam pod nie dłonie i zaśmiewałam się zdumiona ich ciężarem; były wspaniale miękkie i cienkie, barwy ciemnego, mocnego brązu z pobłyskami złota. Uwielbiałam je rozpuszczać i patrzeć, jak rozsypują się pod własnym ciężarem, gdy póżeła w fotelu w swym pokoju, przemawiając słodkim, niskim głosem. Splatałam je i upinałam, a potem rozczesywałam i bawiłam się nimi. O niebios! Gdybym tylko wiedziała!

Powiedziałam, że istniało parę drobiazgów, które mnie nie zachwyciły. Mówiłam, jak pierwszej nocy otworzyła się przede mną, odkryłam jednak, iż w kwestiach jej samej, matki, historii, wszystkiego związanego z życiem, planami i ludźmi, zachowywała stale czujną rezerwę. Owszem, przyznaję, zachowywałam się nierozsądnie. Może błądziłam, i powinnam była uszanować poważne ograniczenie, narzucone memu ojcu przez dostojną damę w czarnych aksamitach. Ale ciekawość nie zna wytchnienia ani skrupułów i żadna dziewczyna nie zniesie cierpliwie, by inna jej nie zaspokoila. W czym mogłoby zaszkodzić, gdyby zdradziła mi to, co tak bardzo pragnęłam poznać? Czyż nie ufała memu poczuciu honoru? Dlaczego nie wierzyła, gdy zapewniałam ją z powagą, że nie ujawnię żadnemu śmiertelnikowi ani sylaby z tego, co mi wyzna?

Zdawało mi się, że w jej uśmiechniętym, melancholijnym uporze, z jakim odmawiała ukazania mi choćby najślabszego promyczka światła, kryje się chłód niepasujący do tak młodego wieku.

Nie mogę powiedzieć, że się o to sprzeczałyśmy, ona bowiem o nic się nie kłóciła. Oczywiście naciskając postępowałam niesprawiedliwie i bardzo niegodnie, ale naprawdę nie umiałam się powstrzymać. Równie dobrze mogłam zostawić ją w spokoju.

To, co mi ujawniła, wedle mojej oceny sprowadzało się do niczego.

Da się to podsumować trzema prostymi zdaniami.

Po pierwsze, na imię miała Carmilla.

Po drugie, pochodziła z bardzo starożytnego, szlchetnego rodu.

Po trzecie, jej dom leżał gdzieś na zachodzie.

Nie chciała ujawnić mi nazwiska swej rodziny ani herbu czy nazwy majątku, a nawet kraju, w którym mieszkała.

Nie sądzicie jednak, że nieustannie drażyłam owe tematy. Wypatrywałam sposobności i bardziej sugerowałam niż otwarcie wyrażałam swe pragnienia. Raz czy dwa istotnie zaatakowałam bardziej bezpośrednio, lecz niezależnie od taktyki zawsze kończyło się to absolutną klęską. Nie pomagały wyrzuty ani pieszczoty. Muszę jednak dodać, iż czyniła swe uniki z tak uroczą melancholią i lekceważeniem, z tak wieloma namiętymi deklaracjami sympatii i zaufania, a także tak wieloma obietnicami, że w końcu dowiem się wszystkiego, iż w głębi serca nie mogłam długo żywić urazy.

Często zarzucała mi na szyję swe zgrabne ramiona, przyciągała mnie do siebie i przyciskała policzek do mej twarzy, mrużąc z ustami tuż przy uchu:

— Najdroższa, zraniłam twoje serduszko, nie miej mnie jednak za okrutną, bo jestem posłuszna nieugiętemu prawu własnej siły i słabości. Jeśli zraniłam twe kochane serce, moje, szalone, także krwawi. W zachwyceniu i niewiarygodnym poniżeniu żyję w twym cieple, a ty umrzesz — o, jakże słodko! — we mnie. Nic nie mogę na to poradzić: tak jak ja przyciągam cię do siebie, ty z kolei przyciągać będziesz innych i poznasz zachwycenie owego okrucieństwa, które jest miłością. Przez jakiś zatem czas nie próbuj dowiedzieć się nic więcej o mnie i mojej rodzinie, lecz zaufaj mi całą kochającą duszą.

Gdy przemawiała tak poetycznie, tuliła mnie mocniej do siebie w drżących objęciach, a jej wargi muskały mój policzek w łagodnych pocałunkach.

Nie potrafiłam pojąć jej poruszenia i słów.

Przyznaję, iż zwykle pragnęłam uwolnić się z owych niemądrych objęć, do których szczęśliwie nie dochodziło zbyt często, zwykle jednak brakowało mi sił. Mruczane przez nią słowa brzmiały mi w uchu niczym kołysanka i zamieniały opór w trans, z którego otrząsałam się dopiero, gdy mnie wypuszczała.

W owych tajemniczych nastrojach nie lubiłam jej, doświadczałam bowiem osobliwego, wzburzonego, nawet przyjemnego podniecenia, połączonego z mglistą odrazą i lękiem. Nie myślałam o niej podczas trwania owych scen, byłam jednak świadoma miłości zamieniającej się w uwielbienie, a także we wstręt. Wiem, że to paradoks, ale w inny sposób nie potrafię nawet próbować wyjaśnić tego uczucia.

Obecnie, po przerwie ponad dziesięcioletniej, drżącą ręką opisuję poplątane i straszliwe wspomnienia pewnych wydarzeń i sytuacji, elementy katuszy, którym nieświadomie mnie poddawano. Choć główny wątek swej historii pamiętam dokładnie i bardzo wyraźnie.

Podejrzewam jednak, że każdy doświadczył w swym życiu pewnych

emocjonalnych scen, podczas których nasze namiętności przebudziły się w straszliwy sposób; ze wszystkich innych je właśnie zapamiętujemy najslabiej.

Czasami po godzinie apatii moja niezwykła, piękna towarzyszka ujmowała mnie za rękę i ścisnęła ją czule, raz po raz; rumieniąc się lekko, zerkając na mnie palącymi oczami spod ciężkich powiek, dysząc tak szybko, że jej suknia unosila się i opadała w rytm głośnych oddechów. Przypominało to namiętność kochanka i budziło moje zakłopotanie; było mi wstrętne, a jednocześnie zniewalające, a ona parząc zwycięsko przyciągała mnie do siebie, przesuwając gorącymi wargami po moim policzku w serii pocałunków i szeptała niemal szlochając:

— Jesteś moja, będziesz moja, pozostaniemy złączone na zawsze.

Potem opadała z powrotem na fotel, zasłaniając drobnymi dłońmi oczy, a ja stałam tam, dygocząc.

— Czy jesteśmy spokrewnione? — pytałam zwykle. — Co masz na myśli? Może przypominam ci kogoś, kogo kochasz, ale nie rób tego, bo tego nie znoszę; nie znam cię — kiedy tak mówisz i patrzysz, nie znam samej siebie.

Widząc moją gwałtowną reakcję zwykle wzdychała, po czym odwracała się i wypuszczała moją rękę.

Szanując owe wielce nietypowe objawy, starałam się na próżno stworzyć jakąkolwiek zadowalającą teorię — nie mogłam wszak posłużyć się udawaniem bądź podstępem. Bez wątpienia w takich chwilach w mojej towarzyszce budziła się gwałtowna eksplozja tłumionego instynktu i emocji. Czyżby wbrew nieproszonym zapewnieniom matki podlegała ona krótkim atakom obłędu, a może chodziło o przebranie i romans? Czytałam o podobnych sprawach w starych książkach. Co, jeśli chłopięcy kochanek znalazł w ten sposób drogę do naszego domu i zaplanował zaloty-maskaradę z pomocą sprytnej, starej awanturnicy? Choć jednak hipoteza ta wielce schlebiała mojej próżności, wiele rzeczy jej zaprzeczało.

Nie mogłam poszczycić się żadnymi drobnymi względami, które tak uwielbiają szarmanccy mężczyźni. Pomiedzy chwilami namiętności następowały długie przedziały codzienności, wesołości, zamyślenia i melancholii, podczas których prócz tego, że nieustannie czułam na sobie jej gorejące melancholijnym ogniem oczy, równie dobrze mogłam być dla niej nikim.

Prócz owych krótkich chwil tajemnego podniecenia zachowywała się wielce dziewczęco, miała też w sobie pewną powolność, zupełnie niepasującą do ogólnej, niemal męskiej siły i doskonałego zdrowia.

Pod pewnymi względami nawyki miała osobliwe, może nie aż tak niezwykle w oczach szlachetnie urodzonych dam z miasta jak dla nas, prostych ludzi ze wsi. Schodziła na dół bardzo późno, zazwyczaj dopiero koło pierwszej, wówczas wypijała filiżankę czekolady, ale nic nie jadła. Potem odbywałyśmy spacer, zwykłą przechadzkę, bo męczyła się niemal natychmiast i albo wracała do zamku, albo też

siadała na jednej z ławek, ustawionych tu i ówdzie między drzewami. Umysł jej jednak buntował się przeciw słabości cielesnej, zawsze rozmawiała z ożywieniem i zdumiewającą inteligencją.

Czasami czyniła mętne aluzje co do własnego domu albo wspominała przygodę czy sytuację, obrazy z przeszłości, w których pojawiali się ludzie o osobliwych manierach. Opisywała też zwyczaje zupełnie nam nieznane. Z owych przypadkowych wzmianek wywnioskowałam, iż jej ojczysty kraj leży znacznie dalej niż z początku przypuszczałam.

Pewnego popołudnia, gdy siedziałyśmy tak pod drzewami, minął nas orszak pogrzebowy. Zmarłą była ładna, młoda dziewczyna, często ją widywałam, córka jednego z leśniczych. Biedak szedł teraz za trumną ukochanej jedynaczki, wyglądał na załamane.

Za nim parami maszerowali chłopci śpiewający pieśń pogrzebową.

Gdy przechodzili, wstałam na znak szacunku i dołączyłam do słodkiego chóru. Moja towarzyszka potrząsnęła mną dość szorstko i odwróciłam się zaskoczona.

— Nie słyszysz, jak strasznie fałszują? — rzuciła ze złością.

— Wręcz przeciwnie, ich śpiew brzmi nader uroczo — odparłam poirytowana jej wtrąceniem i bardzo zakłopotana, obawiałam się bowiem, że ludzie uczestniczący w niewielkim kondukcie zauważą coś i zareagują niechęcią.

Natychmiast podjęłam przerwana pieśń, Carmilla jednak znów mi przerwała.

— Ranisz mi uszy! — rzuciła niemal gniewnie i zatkała je smukłymi palcami. — Poza tym skąd wiesz, czy wyznajemy tę samą religię? Wasze formułki mnie urażają i nie znoszę pogrzebów. Cóż za zawracanie głowy! Musisz przecież umrzeć — wszyscy muszą umrzeć, a kiedy się to stanie, są znacznie szczęśliwsi. Wracajmy do domu.

— Mój ojciec wybrał się z kościelnym na cmentarz. Myślałam, że wiesz, że ją dzisiaj pochowają?

— Ją? Nie zaprzęgam sobie głowy chłopstwem, nie wiem co to za ona — odparła Carmilla i jej piękne oczy błysnęły.

— To biedna dziewczyna, której dwa tygodnie temu zdawało się, że widziała ducha. Od tego czasu konała powoli, aż do wczoraj, kiedy umarła.

— Nie wspominaj mi o duchach, inaczej w ogóle dziś nie zasnę.

— Mam nadzieję, że to nie zapowiedź gorączki ani zarazy, choć wszystko na to wskazuje — podjęłam. — Młoda żona świniopasa zmarła zaledwie tydzień temu. Twierdziła, że kiedy leżała w łóżku, coś pochwyciło ją za gardło i omal nie udusiło. Tato mówi, iż podobne koszarne fantazje często towarzyszą niektórym chorobom. Poprzedniego dnia czuła się zupełnie dobrze, później gwałtownie osłabła i po niecałym tygodniu umarła.

— Cóż, mam nadzieję, że jej pogrzeb już się odbył i odśpiewano wszystkie

pieśni, nikt zatem nie będzie torturował nam uszu fałszami i gwarą. Zdenerwowało mnie to wszystko. Usiądź tu obok, bliżej, weź mnie za rękę i uściśnij mocniej — jeszcze mocniej.

Przeszliśmy kawałek i dotarliśmy do drugiej ławki.

Carmilla usiadła; na jej twarzy zaszła zmiana, która zaniepokoiła mnie, a na moment wręcz przeraziła. Skóra pociemniała i poczerwieniała upiornie; marszcząc czoło i zaciskając wargi towarzyszka moja wbijała wzrok w ziemię u stóp, wstrząsana serią dreszczy, niepowstrzymanych jak w ataku żółtej febry. Całą swą energię zdawała się przelewać w próby opanowania ataku, wstrząsającego nią tak bezlitośnie. W końcu z ust wydarł jej się niski, konwulsyjny krzyk cierpienia i histeria powoli osłabła.

— Proszę! Oto co się dzieje, kiedy prześladujesz ludzi pieśniami! — rzekła w końcu. — Przytul mnie, przytul mocno, to już mija.

I istotnie, stopniowo dreszcze ustały. Być może po to, by rozjaśnić ponure wrażenie jakie wywarło na mnie owo widowisko, Carmilla ożywiła się wyraźnie i tak wróciliśmy do domu.

Wówczas po raz pierwszy ujrzałam u niej wyraźne oznaki owego delikatnego zdrowia, o którym wspominała jej matka. Po raz pierwszy także odezwał się wówczas jej temperament.

Jedno i drugie minęło niczym letni deszcz, potem już tylko raz byłam świadkiem chwilowego gniewu mej towarzyszki. Opowiem wam jak to się stało.

Wyglądałyśmy właśnie przez jedno z okien długiego salonu, gdy pokonawszy most zwodzony na dziedzińcu zjawił się wędrowiec, którego doskonale znałam. Zazwyczaj odwiedzał schloss dwa razy do roku.

Ów garbus miał chudą twarz o ostrych rysach, często towarzyszących kalectwu, czarną szpiczastą brodę i uśmiechał się od ucha do ucha, wyszczerzając białe kły. Odziany był w czerń, żółć i szkarłat, pospinane tyłoma paskami i rzemieniami, że nie zdołałabym ich zliczyć. Z każdego zwisały najróżniejsze przedmioty, na plecach dźwigał magiczną latarnię i dwa pudła — wiedziałam doskonale, że w jednym trzyma salamandrę, a w drugiej mandragorę. Potwory te zawsze śmieszyły mojego ojca — zrobiono je z kawałków ciał małą, papug, wiewiórek, ryb i jeży, wysuszonych i bardzo starannie zszytych do kupy. W sumie dawało to zdumiewający efekt. Miał też skrzypki, skrzynkę magicznych przedmiotów, parę floretów i masek, wiszących u pasa, kilka innych tajemniczych skrzynek dyndających wokół niego i czarny kij z miedzianymi okuciami, który ścisnął w dłoni. Towarzyszył mu kudłaty kundel, który, choć zwykle trzymał się tuż przy nodze, zatrzymał się podejrzliwie przy moście i po chwili zaczął żałośnie wyć.

Tymczasem hochsztapler stojący pośrodku dziedzińca uniósł groteskowy kapelusz i złożył nam wielce ceremonialny ukłon, któremu towarzyszyły

pompatyczne powitania, wyrażone straszliwą francuszczyzną i niewiele lepszą niemiecczyzną.

Następnie odczepiwszy skrzypki, jął wygrywać wesołą melodię, do wtóru której śpiewał radośnie a fałszywie, tańcząc w prześmieszny, groteskowy sposób, że aż nie bacząc na wycie psa wybuchnęłam śmiechem.

Wówczas podszedł do okna wśród wielu uśmiechów i pozdrowień, ściskając kapelusz w lewej dłoni, a skrzypki pod pachą i ani na moment nie przerywając potoku słów, wygłosił długą reklamę wszystkich swych osiągnięć i najróżniejszych sztuczek, których pokaz nam proponował, a także ciekawostek i rozrywek dostępnych na jedno nasze skinienie.

— Czy wasze miłości zechcą kupić amulet przeciw upiorowi, który ponoć niczym wilk grasuje w tych lasach? — rzekł, upuszczając kapelusz na kamienne płyty. — Ludzie mrą na prawo i lewo, a przecież istnieje urok, który nigdy nie zawodzi. Wystarczy przypiąć go do poduszki i możecie śmiać się w twarz widmu.

Owymi amuletami okazały się podłużne paski pergaminu, pokryte kabalistycznymi znakami i rysunkami.

Carmilla natychmiast kupiła jeden, ja także.

Patrzył na nas z dołu, a my — a przynajmniej ja — uśmiechałyśmy się do niego z rozbawieniem. Jego bystre czarne oko, spoglądające w nasze twarze najwyraźniej dostrzegło coś, co wzbudziło w nim ciekawość.

W mgnieniu oka otworzył skórzaną torbę pełną najróżniejszych drobnych, stalowych narzędzi.

— Spójrz tutaj, moja panno — rzekł demonstrując je i zwracając się do mnie. — Wyznaję, że pośród innych, mniej użytecznych sztuk poznałem także naukę dentystyczną. Niech diabli porwą tego psa! — wtrącił. — Milcz, bestio! Wyje tak głośno, że wasza miłość ledwie słyszy moje słowa. Pani szlachetna przyjaciółka, młoda dama po prawej, ma niezwykle ostry ząb — długi, szpiczasty, wąski jak igła albo szydło, ha, ha! Bystre me i uważne oko spoglądając z dołu widzi go wyraźnie. Jeśli zatem dolega on młodej pannie, a wierzę, że tak jest w istocie, mam tu oto pilnik, szczypce oraz dłuto. Jeżeli wasza miłość zechce, łączo go stępię i zaokrąglę, tak że nie będzie już rybim zębem, lecz zębkiem godnym młodej, pięknej damy. Hej? Czyżbym uraził młodą damę? Czy byłem zbyt śmiały? Czy ją obraziłem?

Młoda dama w istocie cofnęła się od okna z bardzo zagniewaną miną.

— Jak ten łapserdak śmie tak nas obrażać? Gdzie twój ojciec? Żądam, by zaraz go ukarał! Mój ojciec kazałby bezzwłocznie przywiązać łotrzyka do pompy, wychłostać bykowcem i przypalać rozżarzoną żelazem aż do kości!

Cofnęła się kilka kroków i usiadła, a gdy tylko straciła z oczu garbusa, jej gniew minął równie nagle, jak się pojawił i stopniowo odzyskała dawny humor, jakby zapominając o biedaku i jego głupstwach.

Tego wieczoru ojciec mój nie był w najlepszym humorze. Po przybyciu poinformował nas, iż pojawił się kolejny przypadek, niezwykle podobny do dwóch niedawnych zgonów. Siostra młodej chłopki w jego majątku, zaledwie milę od zamku, ciężko zachorowała; jak to opisała, została zaatakowana w niemal identyczny sposób, a teraz powoli, nieuchronnie traciła siły.

— Wszystko to — dodał — można wyjaśnić przyczynami naturalnymi. Ci biedacy zarażają się nawzajem swymi zabobonami i odtwarzają w wyobraźni obrazy grozy, które nawiedzały ich sąsiadów.

— Ale same okoliczności są doprawdy przerażające — wtrąciła Carmilla.

— Jakże to? — spytał mój ojciec.

— Lękam się nawet myśli, że mogłaby i mnie nawiedzić podobna fantazja, byłaby równie okropna jak rzeczywistość.

— Jesteśmy w rękach Boga, nic nas nie spotka bez jego zgody, a dla tych, którzy go kochają, wszystko dobrze się skończy. To nasz kochający Stwórca, on nas powołał i on się nami zajmie.

— Stwórca! Natura! — odparła na to młoda dama. — A ta choroba, która nawiedziła ten kraj, czyż nie jest naturalna? To przecież natura, bo wszystko pochodzi z natury, czyż nie? Wszystko na niebie, ziemi i pod ziemią zachowuje się i żyje w zgodzie z prawami natury. Tak uważam.

— Doktor mówił, że zajrzy tu dzisiaj — oznajmił ojciec po chwili milczenia. — Chcę usłyszeć co o tym myśli i co według niego powinniśmy robić.

— Mnie doktorzy nigdy nie pomogli — odrzekła Carmilla.

— A zatem chorowałaś? — spytałam.

— Ciężiej niż ty kiedykolwiek.

— Dawno temu?

— Tak, dawno temu. Cierpiałam na tę właśnie chorobę, ale zapomniałam już o wszystkim, prócz bólu i słabości, nie aż tak strasznych, jak te, które musiałam znieść podczas innych chorób.

— Byłaś wtedy bardzo młoda?

— Wybacz, nie mówmy już o tym. Nie chcesz chyba zranić przyjaciółki?

Spojrzała mi przeciągle w oczy, czule objęła ramieniem w talii i wyprowadziła z salonu. Ojciec pochylał się nad papierami przy oknie.

— Dlaczego twój papa tak lubi nas straszyć? — spytała moja urocza towarzyszka z westchnieniem i lekkim dreszczem.

— Ależ nie, droga Carmillo, to ostatnia rzecz, jakiej by pragnął.

— Czy ty się boisz, najdroższa?

— Bardzo bym się bała, gdybym uznała, że istnieje realna groźba, iż padnę ofiarą ataku, tak jak ktoś z tych biedaków.

— Boisz się śmierci?

— Jak chyba wszyscy.

— Ale umrzeć jak kochankowie — razem, by móc żyć razem wiecznie? Dziewczęta tego świata są jak gąsienice, kiedy nadejdzie lato zamieniają się w motyle, tymczasem jednak żyją jak larwy i poczwarki — każda ma swoje cechy, potrzeby i upodobania. Tak twierdzi monsieur Buffon w księdze stojącej w sąsiednim pokoju.

Później tego dnia zjawił się doktor i jakiś czas naradzał się w zamknięciu z ojcem.

Był to człek zręczny, po sześćdziesiątce, nosił puder i golił bladą twarz gładko niczym dynia. W końcu wyłonili się wraz z ojcem z zamkniętego salonu. Usłyszałam śmiech taty, mówiącego właśnie:

— Cóż, to niezwykle w ustach kogoś tak mądrego, jak pan. Jakie jest pańskie zdanie na temat smoków i hipogryfów?

Doktor z uśmiechem pokręcił głową.

— Mimo wszystko, życie i śmierć to stany tajemnicze i doprawdy niewiele o nich wiemy.

Odeszli dalej i więcej nie usłyszałam. Nie wiedziałam wtedy jaki temat poruszył doktor, ale teraz chyba zgaduję.

V. Zdumiewające podobieństwo

Tego wieczoru przybył do nas z Gratzu konnym wózkiem, wyładowanym dwiema wielkimi skrzyniami, poważny młodzian o śniadej twarzy, syn odnowiciela obrazów. Od naszej niewielkiej stolicy dzieliło nas dziesięć staj i gdy tylko zjawiał się posłaniec, tłoczyliśmy się wokół niego w sieni, by wysłuchać najnowszych wieści.

To przybycie wywołało w naszej samotni prawdziwą sensację. Skrzynie pozostały w sieni, a samym posłańcem zajęła się służba. Dopiero po obiedzie, w asyście pomocników, uzbrojony w młotek, dłuto i śrubokręt spotkał się z nami w holu, gdzie się zgromadziliśmy, by oglądać otwarcie skrzyń.

Carmilla patrzyła bez zbytniego zainteresowania, jak na światło dzienne wyłaniały się kolejne stare obrazy, niemal same portrety poddane procesowi renowacji. Matka moja pochodziła ze starego węgierskiego rodu i większość owych obrazów, które miały właśnie trafić na swe dawne miejsca, stanowiła jej wiano.

Ojciec trzymał w ręku spis, z którego odczytywał kolejne pozycje, a tymczasem artysta wyciągał odpowiadające im numery. Nie wiem, czy obrazy były dobre, lecz bez wątpienia bardzo stare, a niektóre dość niezwykłe. Większość tak naprawdę oglądałam po raz pierwszy, wcześniej bowiem niemal całkowicie zatarły je dym i kurz wieków.

— Tego obrazu wcześniej nie widziałem — zauważył ojciec. — W jednym górnym rogu napisano imię, o ile dobrze widzę brzmi ono „Marcia Karnstein” oraz data „1698”. Ciekaw jestem, jak się udała odnowa.

Pamiętałam go — był to obraz niewielki, wysoki na półtorej stopy i niemal kwadratowy, pozbawiony ramy, tak bardzo poczerniały ze starości, że nie dało się stwierdzić, co przedstawia.

Artysta zademonstrował go teraz z niewątpliwą dumą. Okazał się bardzo piękny, zdumiewający, niemal żywy. I był podobizną Carmilli!

— Carmillo, moja droga, to przecież cud! Oto ty, żywa, uśmiechnięta, gotowa przemówić, na tym obrazie. Czyż nie jest piękny, tato? Zobaczcie, widać nawet malutki pieprzyk na jej gardle!

Ojciec roześmiał się.

— To doprawdy zdumiewające podobieństwo — rzekł, później jednak odwrócił wzrok i ku mojemu zdumieniu wydawał się lekko wstrząśnięty.

Znów zaczął rozmawiać z odnowicielem obrazów, także będącym artystą, dyskutując żwawo walory portretów i innych prac, które zdołał rozjaśnić swoją sztuką. Ja tymczasem z coraz większym zadziwieniem wpatrywałam się w ów

wizerunek.

— Czy pozwolisz mi powiesić ten obraz w moim pokoju, tato? — poprosiłam.

— Oczywiście, kochanie — rzekł z uśmiechem. — Bardzo się cieszę, że tak ci się podoba. Musi być zatem jeszcze ładniejszy, niż mi się zdawało.

Młoda dama nie dała po sobie znać, czy usłyszała choć słowo z owej miłej przemowy. Odchyliła się w fotelu, patrząc na mnie spod długich rzęs lśniąco oczami, z zafascynowanym uśmiechem.

— Teraz da się wyraźnie odczytać imię zapisane w narożniku. Nie brzmi ono Marcia i wygląda na to, że nakreślono je złotą farbą. To Mircalla, hrabianka Karnstein, nad napisem widnieje mała korona, a pod nim data: 1698. Pochodzę z rodu Karnsteinów, wywodziła się z niego moja mama.

— Ach — rzuciła leniwie moja towarzyszka. — Ja chyba także, ale to bardzo dawne więzy, bardzo stare. Czy Karnsteinowie wciąż żyją w tej okolicy?

— O ile wiem, nikt noszący to nazwisko. Rodzina popadła w ruinę w wojnach domowych dawno temu, lecz pozostałości jej zamku stoją zaledwie trzy mile stąd.

— Jakież to fascynujące — rzekła nadal ospałym tonem. — Ale spójrz, jaki piękny księżyc! — Wyrzała przez uchylone drzwi wejściowe. — Może zechcesz spacerować się nieco po dziedzińcu i wyrzeć na gościniec i rzekę?

— Jest zupełnie jak owego wieczoru, gdy do nas przybyłaś — zauważyłam.

Carmilla westchnęła i uśmiechnęła się.

Wstała i objęte ramionami wyszliśmy na dwór. W milczeniu zbliżyliśmy się do mostu zwodzonego, z którego otwierał się przepiękny krajobraz.

— Myślisz zatem o owym wieczorze, kiedy się zjawiłam? — wyszeptała niemal. — Cieszysz się, że tu przybyłam?

— Niezmiernie, moja droga Carmillo — odparłam.

— I poprosiłaś o to, by móc zawiesić w swym pokoju obraz, który, jak sądzisz, bardzo mnie przypomina — wymamrotała z westchnieniem, obejmując mocniej moją talię i kładąc mi na ramieniu śliczną główkę.

— Cóż z ciebie za romantyczka, Carmillo. Kiedy już opowiesz mi swoją historię, z pewnością będzie to wspaniały romans.

Ucałowała mnie w milczeniu.

— Jestem pewna, Carmillo, że kogoś już kochałaś i że sprowadziły cię tu sprawy sercowe.

— Nikogo nie kochałam i nie pokocham — wyszeptała. — Chyba że ciebie.

Jakże cudownie wyglądała w promieniach księżyca!

Zerknęła na mnie nieśmiało, dziwnie, po czym szybko, z donośnym westchnieniem, brzmiącym niemal jak szloch, ukryła twarz w mojej szyi i we włosach i wsunęła w dłoń swoje drżące palce. Jej miękki policzek jaśniał obok mego.

— Najdroższa, najdroższa — szeptała. — Żyję w tobie, a ty umrzesz dla mnie. Tak bardzo cię kocham.

Wzdrygnęłam się i odskoczyłam.

Patrzyła na mnie oczami, z których umknął wszelki ogień i życie, z twarzą bezbarwną i apatyczną.

— Czy czujesz ten chłód w powietrzu, moja droga? — spytała sennie. — Niemal drzę. Czyżbym śniła? Wróćmy do środka. Chodź, chodź, chodź do domu.

— Wydajesz się chora, Carmillo, osłabiona. Musisz napić się wina.

— Tak też uczynię. Już mi lepiej. Za kilka minut dojdę do siebie. Tak, daj mi odrobinę wina — poprosiła Carmilla, gdy zbliżyłyśmy się do drzwi. — Ale najpierw popatrzmy jeszcze przez moment. Może ostatni raz oglądam z tobą księżyc.

— Jak się teraz czujesz, najdroższa Carmillo? Naprawdę lepiej? — dopytywałam. Zaczynałam się niepokoić, czy może nie zapadła na ową tajemniczą chorobę, która ponoć nawiedzała nasz kraj. — Tato byłby doprawdy zrozpaczony — dodałam — gdyby sądził, że choć odrobinę niedomagasz, nie informując nas o tym. Mamy tu bardzo zręcznego doktora, tego, który odwiedził nas dzisiaj.

— Nie wątpię, wiem jacy jesteście życzliwi, ale, drogie dziecko, naprawdę nic mi nie jest. To tylko chwila słabości, nic więcej. Ludzie twierdzą, że jestem leniwa, niezdolna do wysiłku, z trudem pokonuję odległości, które nie sprawiają kłopotu nawet trzylatkom. A od czasu do czasu nawet moja mizerna siła zawodzi i słabnę tak jak przed chwilą. Potem jednak szybko wracam do siebie, po chwili odzyskuję energię. Widzisz już chyba, że nic mi nie jest.

Istotnie, wyglądała jak zwykle i rozmawiałyśmy jeszcze długo z wielkim ożywieniem. Reszta wieczoru minęła bez dalszych nawrotów tego, co nazywałam jej zadurzeniami. Mam na myśli szalone słowa i spojrzenia, które budziły we mnie skrępowanie, wręcz lęk.

Owej nocy jednak zaszło coś, co poruszyło mną do głębi i jak się zdaje wstrząsnęło nawet senną naturą Carmilli, dodając jej życia.

VI. Bardzo osobliwe cierpienia

Kiedy wróciłyśmy do salonu i usiadłyśmy przy kawie i czekoladzie, choć Carmilla ich nie piła, znów była sobą. Wraz z madame i mademoiselle De Lafontaine urządziłyśmy sobie partyjkę karcianą, podczas której zjawił się papa, na swoją, jak to nazywał, podwieczorną przekąskę.

Po grze usiadł obok Carmilli na sofie i spytał lekko nerwowo, czy od czasu przybycia miała jakieś wieści od matki.

Odpowiedziała krótkim przeczeniem.

Spytał następnie, czy wie, gdzie można wysłać do niej list.

— Nie mogę rzec — odparła wieloznacznie — ale zastanawiałam się nad wyjazdem. Już i tak okazaliście mi niezwykłą gościnność i uprzejmość. Ja natomiast sprawiałam wyłącznie kłopoty, wynajmę zatem jutro powóz i wyruszę w ślad za nią. Wiem, gdzie w końcu ją znajdę, choć nie śmiem tego ujawnić.

— Ależ proszę nawet nie myśleć o podobnych rzeczach! — wykrzyknął ojciec ku mej wielkiej uldze. — Nie możemy tak pani utracić, nie zgodzę się na pani wyjazd, chyba że pod opieką matki, która przecież zezwoliła, by została pani z nami aż do jej powrotu. Ucieszyłbym się, słysząc iż ma pani od niej jakieś wieści, lecz dziś wieczór nowiny o postępach tajemniczej choroby nawiedzającej nasze sąsiedztwo brzmią jeszcze bardziej niepokojąco i czuję się odpowiedzialny za panią, naszego pięknego gościa, choć nie mogę liczyć na rady pani matki. Dołożę jednak wszelkich starań. Jedno jest pewne: proszę nawet nie myśleć o wyjeździe bez jej wyraźnego polecenia. Rozstanie z panią sprawiłoby nam zbyt wiele bólu, bym mógł łatwo się na nie zgodzić.

— Tysiącuroc dziękuję ci, panie, za twoją gościnność — odparła z zawstydzonym uśmiechem. — Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy; rzadko w swym życiu bywałam równie szczęśliwa, jak w waszym przepięknym chateau, pod pańską pieczęcią i w towarzystwie pana najdroższej córki.

Ojciec ze staroświecką galanterią ucałował ją w dłoń, uśmiechnięty i rad z owych komplementów.

Jak zwykle odprowadziłam Carmillę do jej pokoju, usiadłam gawędząc z nią, gdy tymczasem szykowała się do snu.

— Jak myślisz — spytałam w końcu — czy kiedykolwiek w pełni mi zawierzysz?

Odwróciła się z uśmiechem, lecz nie odpowiedziała, a jedynie patrzyła na mnie uśmiechnięta.

— Nic nie powiesz? Widać nie możesz odpowiedzieć twierdząco. Nie

powinnam była w ogóle pytać.

— Masz wszelkie prawo pytać mnie o to i o cokolwiek innego. Nie wiesz nawet, jak bardzo jesteś mi droga. W zwykłych okolicznościach mogłabyś się domagać ode mnie wyznania wszelkich sekretów, wiąże mnie jednak przysięga surowsza niż wszystkie zakonne śluby i nie śmiem opowiedzieć mojej historii, nawet tobie. Zbliża się czas, gdy poznasz wszystko. Uznasz mnie za okrutną, bardzo samolubną, ale miłość jest zawsze samolubna, im gorętsza, tym bardziej łapczywa i zachłanna. Nie potrafisz nawet pojąć, jak bardzo jestem zazdrosna. Musisz kochając mnie pójść ze mną aż do śmierci. Albo też nienawidzić mnie i nadal mi towarzyszyć, nienawidząc w śmierci i po niej. Apatyczna ma natura nie zna słowa obojętność.

— Ależ Carmillo, znów wygadujesz szalone głupstwa — ucięłam pospiesznie.

— To prawda, niemądre ze mnie stworzenie, pełne kaprysów i dziwaczych pomysłów. Lecz ze względu na ciebie zamienię się w mędrca. Czy byłaś kiedyś na balu?

— Nie, ale skąd ta zmiana tematu? Jak to jest? Musi być cudownie.

— Prawie już zapomniałam. To było wiele lat temu.

Roześmiałam się.

— Nie jesteś aż tak stara. Trudno uwierzyć, byś zapomniała swój pierwszy bal.

— Pamiętam wszystko, ale... z wysiłkiem. Widzę to jak nurkowie oglądają świat ponad wodą, przez grubą, falującą, lecz przejrzystą zasłonę. Wydarzenia następnej nocy zakłóciły ów obraz, to przez nie kolory wyblakły. Niemal zamordowano mnie w moim własnym łóżku. Zraniono tutaj — dotknęła piersi — i odtąd nigdy już nie byłam taka sama.

— Czy byłaś bliska śmierci?

— O tak, bardzo! Okrutna, niezwykła miłość omal nie odebrała mi życia. Miłość oznacza ofiary, a nie ma ofiary bez krwi. Połóżmy się już, czuję wielką senność, nie wiem czy zdołam wstać i zamknąć drzwi.

Leżała z drobnymi dłońmi wsuniętymi między bujne, falujące włosy, pod policzkiem. Główna jej spoczywała na poduszce, a lśniące oczy śledziły każdy mój ruch. Uśmiechała się przy tym nieśmiało, w sposób, którego nie umiałam pojąć.

Życzyłam jej dobrej nocy i wyśliznęłam się z sypialni, dziwnie skrępowana.

Często się zastanawiałam, czy nasz uroczy gość kiedykolwiek się modli. Nigdy nie widziałam jej na klęczkach. Rankiem schodziła na długo po wspólnej rodzinnej modlitwie, a nocą nie opuszczała salonu, by wziąć udział w naszych krótkich wieczornych modłach w sieni. Gdyby nie wzmianka podczas jednej z naszych nieostrożnych rozmów, o tym, że ją ochrzczono, poważnie wątpiłabym, czy w ogóle jest chrześcijanką. Religia należała do tematów, których nigdy nie poruszała. Gdybym lepiej znała ten świat, to szczególne zaniedbanie bądź niechęć zapewne

nie zdumiałyby mnie aż tak bardzo.

Środki ostrożności podejmowane przez ludzi nerwowych bywają zaraźliwe, osoby o podobnym charakterze po jakimś czasie zaczynają je naśladować. Ja także, podobnie jak Carmilla, zaczęłam zamykać na klucz drzwi sypialni, wbiwszy sobie do głowy wszystkie kapryśne opowieści przyjaciółki o nocnych intruzach i skradających się zabójcach. Podobnie jak ona zaczęłam też wieczorem przeszukiwać pokój, by upewnić się, że w żadnym kącie nie czai się ukryty rabuś bądź morderca.

Uczyniwszy to wszystko, położyłam się do łóżka i zasnęłam. W pokoju paliło się światło, był to mój dawny zwyczaj z wczesnego dzieciństwa i nic nie zdołałoby mnie przekonać, bym go zaniedbała.

Tak uzbrojona mogłam spać w spokoju, lecz sny przenikają przez kamienne mury, rozjaśniają ciemne pokoje bądź przynoszą mrok do jasnych, a ich majaki wchodzą i wychodzą wedle woli, drwiąc z wszelkich zamków.

Tej nocy miałam sen, stanowiący początek bardzo osobliwych cierpień.

Nie mogę go nazwać koszmarem, bo od początku byłam świadoma tego, że śnię.

Wiedziałam też jednak, że jestem w swym pokoju i leżę w łóżku, tak jak w rzeczywistości. Widziałam, czy też zdawało mi się, że widzę, sypialnię i wszystkie meble tak jak wcześniej, tyle że było bardzo ciemno. Dostrzegłam też coś, co poruszało się u stóp łóżka. Z początku nie zauważyłam co to, wkrótce jednak przekonałam się, że to czarne jak sadza zwierzę, podobne do potwornego kota. Oceniałam, że ma cztery-pięć stóp długości, dorównywało bowiem wielkością dywanikowi, po którym przeszło. Cały też czas krążyło tam i z powrotem gibkim, złowieszczym krokiem bestii tkwiącej w klatce. Nie mogłam krzyknąć, choć, jak pewnie zgadujecie, byłam przerażona. Zwierzę poruszało się coraz szybciej, a ciemność w pokoju gęstniała gwałtownie. W końcu zrobiło się tak ciemno, że widziałam już tylko jego oczy. Poczułam, jak wskakuje lekko na łóżko, dwoje wielkich oczu zbliżyło się do mej twarzy i nagle ostry ból przeszył mi pierś, jakby wbiły się w nią głęboko dwie długie, ostre igły w odległości paru cali. Obudziłam się z krzykiem. Sypialnię oświetlała świeca, płonąca tam całą noc, i zobaczyłam kobiecą postać u stóp łoża, nieco po prawej. Miała na sobie ciemną, luźną suknię, rozpuszczone włosy opadały na ramiona. Nawet kamienna bryła nie mogła trwać w większym bezruchu, nie słyszałam nawet cienia oddechu. Na moich oczach postać zmieniła nagle położenie i znalazła się bliżej drzwi, potem jeszcze bliżej, drzwi się otwały, a ona zniknęła.

Poczułam ulgę, nagle mogłam już odetchnąć i się poruszyć. Najpierw sądziłam, że to Carmilla spłatała mi psikusa i zapomniałam przekręcić klucz w zamku. Podbiegłam do drzwi i przekonałam się, że jak zwykle są zamknięte od wewnątrz.

Bałam się je otworzyć — byłam przerażona. Wskoczyłam na łóżko, przykryłam głowę kołdrą i leżałam tam, bardziej martwa niż żywa, aż do rana.

VII. Otchłań

W żaden sposób nie potrafię wam wyjaśnić z jaką grozą, nawet teraz, wspominam wydarzenia owej nocy. Nie był to przelotny strach, który pozostawia po sobie koszmarny sen. Więcej, z czasem zdawał się jeszcze pogłębiać, obejmować także pokój i meble, wśród których pojawiła się zjawa.

Następnego dnia ani przez moment nie mogłam zostać sama. Powinnam była opowiedzieć wszystko tacie, ale nie zrobiłam tego z dwóch przeciwstawnych powodów. Po pierwsze, sądziłam, że wyśmiejemy moją historię, a nie zniosłabym, gdyby potraktował ją jak żart. Z drugiej lękałam się, iż mógłby uznać, iż zaatakowała mnie tajemnicza dolegliwość, która nawiedzała sąsiedztwo. Ja sama wcale się tego nie obawiałam, a że ojciec długi czas miał kłopoty ze zdrowiem, bałam się go wystraszyć.

W obecności poczciwych towarzyszek, madame Perrodon i żwawej mademoiselle De Lafontain, czułam się całkiem swobodnie. Obie zauważyły, że jestem podenerwowana i wyraźnie nie w sosie, aż w końcu po jakimś czasie opowiedziałam im, co mi ciąży na sercu.

Mademoiselle roześmiała się, wydało mi się jednak, iż madame Perrodon spojrzała na mnie z troską.

— A przy okazji — oznajmiła mademoiselle ze śmiechem — długa alejka lipowa pod oknem sypialni Carmilli jest nawiedzona!

— Bzdury! — wykrzyknęła madame, uznawszy zapewne, że to wyjątkowo niestosowny temat. — Któż to opowiada podobne historie, moja droga?

— Martin mówi, że odwiedzał ją dwukrotnie, przed wschodem słońca, gdy naprawiano starą bramę i dwakroć widział tę samą kobiecą postać, wędrującą lipową aleją.

— Całkiem możliwe, na nadrzecznych polach pasą się przecież krowy, które trzeba doić — wtrąciła madame.

— Istotnie, lecz Martin, ten głupiec, woli się bać. Nigdy jeszcze nie widziałam go takim przerażonym.

— Tylko nie powtórzcie nic z tego Carmilli, bo z okna jej pokoju widać tę aleję — wtrąciłam. — A jest, jeśli w ogóle to możliwe, jeszcze większym tchórzem ode mnie.

Tego dnia Carmilla zjawiła się jeszcze później niż zwykle.

— Zeszłej nocy okrutnie się przeraziłam — oznajmiła, gdy tylko się spotkałyśmy. — I jestem pewna, że gdyby nie amulet, który kupiłam od owego nieszczęsnego garbuska, którego nazwałam tak okropnie, z pewnością ujrzałabym

coś potwornego. Śniło mi się, że coś czarnego podeszło do mojego łóżka i obudziłam się zdjeta grozą. Przez kilka sekund naprawdę mi się zdawało, że widzę ciemną postać koło kominka. Sięgnęłam jednak pod poduszkę po amulet i gdy tylko dotknęłam go palcami, postać zniknęła. A ja zrozumiałam, że gdyby nie czar ochronny, coś przerażającego by się zjawilo i być może zadusiło mnie, jak tych nieszczęśników, o których słyszałyśmy.

— No to posłuchaj mojej historii — zaczęłam i opisałam jej całą przygodę, ona zaś słuchała ze zgrozą.

— A czy miałaś przy sobie amulet? — spytała natychmiast.

— Nie, wrzuciłam go do porcelanowej wazy w salonie, ale z pewnością zabiorę dziś wieczorem, skoro pokładasz w nim tak wielką wiarę.

Z perspektywy czasu nie potrafię wam wyjaśnić, ani nawet zrozumieć, jak zdołałam tak szybko i skutecznie pokonać grozę, by tej nocy samotnie leć w swej sypialni. Pamiętam wyraźnie, że przypięłam amulet do poduszki. Niemal natychmiast zasnęłam i przespałam całą noc jeszcze smaczniej niż zazwyczaj.

Następna upłynęła równie dobrze. Spałam rozkosznie głęboko, nie dręczona koszmarami.

Obudziłam się jednak z uczuciem apatii i melancholii, tak nieokreślonym, iż niemal sprawiało mi przyjemność.

— Mówiłam przecież — odparła Carmilla, gdy opisałam jej swój spokojny sen. — Ja także cudownie spałam zeszłej nocy. Przypięłam amulet do koszuli nocnej na piersi, wczoraj był zbyt daleko. To na pewno wyłącznie wymysły, oprócz snów. Kiedyś uważałam, że zsyłają je złe duchy, lecz nasz doktor twierdził, iż nie ma czegoś takiego, tylko przechodząca gorączka bądź inna dolegliwość, która stuka do drzwi i nie mogąc dostać się do środka odchodzi, pozostawiając po sobie niepokój.

— Czym w takim razie jest według ciebie amulet? — spytałam.

— Został nasączony bądź naperfumowany jakimś lekarstwem i stanowi antidotum przeciw malarii — odparła.

— Zatem działa wyłącznie na ciało?

— Oczywiście, nie przypuszczasz chyba, by złe duchy lękały się kawałka wstążki bądź olejków ze sklepu aptekarza? Nie, owe dolegliwości snujące się w powietrzu najpierw oddziałują na nerwy i tym samym atakują mózg, nim jednak zdołają cię pochwycić, antidotum je przegania. Z pewnością tak właśnie pomógł nam amulet. Nie ma w tym nic magicznego, to czysta natura.

Czułabym się znacznie lepiej mogąc zgodzić się w pełni z Carmillą, dołożyłam jednak wszelkich starań i wydarzenia ostatniej nocy zaczęły tracić swą moc.

Kilka kolejnych nocy przespałam głęboko, nadal jednak co rano budziłam się ociężała i apatyczna, przez cały dzień czując dziwną senność. Miałam wrażenie, że zaszła we mnie jakaś zmiana. Ogarniała mnie osobliwa melancholia, z której w

żaden sposób nie umiałam się otrząsnąć. W głowie budziły się mętne myśli o śmierci i zagnieździło się we mnie powolne, coraz mocniejsze przekonanie, że powoli osuwam się w otchłań. Co dziwne, było ono niemal przyjemne, a choć smutne, niosło ze sobą także pewną słodycz.

Cokolwiek to było, moja dusza pogodziła się z tym.

Nie chciałam przyznać, że choruję, w żadnym razie nie zamierzałam informować ojca ani też wzywać lekarza.

Carmilla czuwała przy mnie z jeszcze większym oddaniem, częściej też nawiedzały ją dziwaczne ataki rozmarzonego uwielbienia. Im bardziej traciłam ducha i siły, z tym większą namiętnością wpatrywała się we mnie. Wciąż to mną wstrząsało, jakbym na moment zerknęła w serce obłądu.

Nie wiedząc o tym, stałam się ofiarą mocno już zaawansowanej, najdziwniejszej choroby, na którą mogą zapaść śmiertelnicy. Jej najwcześniejsze objawy okazały się tak niewytłumaczalnie fascynujące, iż nader chętnie pogodziłam się z osłabieniem właściwym temu etapowi dolegliwości. Fascynacja owa rosła z czasem, aż w końcu osiągała punkt, w którym stopniowo zaczynało się z nią mieszać poczucie grozy, pogłębiające się, póki nie przeniknęło i zabarwiło sobą wszelkich aspektów mojego życia.

Pierwsza zmiana, jakiej doświadczyłam, okazała się dość przyjemna. Nastąpiła bardzo blisko owego punktu zwrotnego, od którego rozpoczynał się upadek w piekielne głębie.

We śnie nawiedzały mnie niewyraźne, osobliwe wrażenia. Dominował wśród nich przyjemny, charakterystyczny, zimny dreszcz, podobny temu, który czujemy podczas kąpieli, poruszając się pod prąd rzeki. Wkrótce zaczęły towarzyszyć mu sny pozbawione końca, tak mętne, że nigdy nie mogłam sobie przypomnieć występujących w nich osób i obrazów, ani jakiegokolwiek spójnej akcji. Pozostawiały jednak po sobie nieprzyjemne wrażenie i poczucie wyczerpania, jakbym miała za sobą długi okres wielkiego umysłowego wysiłku i zagrożenia.

Po wszystkich tych snach na jawie pozostawało wspomnienie pobytu w miejscu niemal zupełnie ciemnym i rozmów z ludźmi, których nie widziałam; zwłaszcza jednego wyraźnego głosu należącego do kobiety, bardzo niskiego, przemawiającego jakby z dali, powoli i nieodmiennie niosącego ze sobą to samo odczucie nieopisanej powagi i lęku. Czasami pojawiało się wrażenie, jakby czyjaś dłoń gładziła mi delikatnie policzek i szyję. Czasem miałam wrażenie, jakby całowały mnie ciepłe usta, coraz dłużej i bardziej czule, gdy docierały do gardła i tam pieśczoła się zatrzymywała. Serce biło mi szybciej, pierś coraz mocniej unosiła się i opadała w oddechu, w gardle budził się szloch przechodzący w poczucie dławienia i wreszcie nadchodził straszliwy atak konwulsji, w czasie którego opuszczały mnie zmysły i traciłam przytomność.

Mijały trzy tygodnie, odkąd pierwszy raz nawiedziły mnie owe niezrozumiałe odczucia.

Przez ostatni tydzień cierpienia odcisnęły piętno na moim wyglądzie. Mocno pobladłam, źrenice miałam rozszerzone, oczy pociemniałe, a znużenie, które od dawna odczuwałam, zaczęło przejawiać się w moich ruchach.

Ojciec pytał mnie często czy dobrze się czuję, ja jednak z uporem, który obecnie wydaje mi się niepojęty twierdziłam, iż zupełnie nic mi nie dolega.

W pewnym sensie było to prawdą — nie czułam bólu, nie mogłam się uskarżać na żadne dolegliwości cielesne. Moje cierpienia zdawały się ograniczać do wyobraźni i nerwów, a choć osiągnęły poziom nie do zniesienia, ze złowieszczą determinacją wciąż zachowywałam je wyłącznie dla siebie.

Nie mogła to być owa straszna choroba, którą chłopci nazywali upiorem, cierpiałam już bowiem od trzech tygodni, a oni rzadko chorowali dłużej niż trzy dni. Potem śmierć kładła kres ich mękom.

Carmilla uskarżała się na sny i uderzenia gorączki, nie tak jednak niepokojące jak moje. Powtarzam bowiem, iż moje budziły niezwykle niepokój. Gdybym umiała pojąć swój stan, na kolanach błagałabym o pomoc i radę. Znalazłam się jednak pod wpływem narkotyku, którego źródła nie umiałam określić, a który stępił zdolność postrzegania.

Teraz opowiem wam o śnie, który doprowadził natychmiast do niezwykłego odkrycia.

Pewnej nocy, zamiast głosu w ciemności, do którego już przywykłam, usłyszałam inny, słodki i czuły, a jednocześnie budzący przerażenie.

— Matka cię ostrzega: strzeż się mordercy! — rzekł.

W tym samym momencie nagle zapłonęło światło i ujrzałam Carmillę, stojącą u stóp mego łóżka w białej koszuli nocnej, od brody aż do stóp zaplamionej ciemną krwią.

Obudziłam się z wrzaskiem, ogarnięta przemożną myślą, że ktoś morduje Carmillę. Pamiętam, jak wyprysnęłam z łóżka, a potem stałam w korytarzu wzywając pomocy.

Madame i mademoiselle wystraszone wybiegły ze swych sypialni. W korytarzu zawsze paliła się lampa i widząc mnie, wkrótce odkryły przyczynę mojego lęku.

Uparłam się, by zastukać do drzwi Carmilli. Nie doczekałyśmy się odpowiedzi.

Wkrótce stukanie zamieniło się w donośne walenie. Raz po raz wykrzykiwałyśmy jej imię, na próżno.

Wszystkie się przeraziłyśmy, bo drzwi były zamknięte na klucz. W panice schroniłyśmy się w moim pokoju, tam zaczęłyśmy gwałtownie szarpać sznur dzwonka. Gdyby sypialnia ojca leżała w tym samym skrzydle domu, natychmiast

wezwałybyśmy go na pomoc. Niestety jednak, przebywał poza zasięgiem słuchu, a dotarcie do niego wymagało prawdziwej wyprawy, na którą żadnej z nas nie starczyło odwagi.

Służba jednak wkrótce wbiegła po schodach. Tymczasem narzuciłam na siebie szlafrok i kapcie, moje towarzyszki już były podobnie odziane. Rozpoznawszy głosy służby w korytarzu, wyjrzałyśmy razem, a gdy ponowne krzyki pod drzwiami Carmilli nic nie dały, rozkazałam mężczyznom, by wyważyli zamek. Tak też uczynili i stanęłyśmy w progu wysoko unosząc lampy i zaglądając do środka.

Wołałyśmy ją po imieniu, nadal jednak nie odpowiadała. Rozejrzałyśmy się dokoła, nic nie zostało poruszone, wszystko wyglądało dokładnie tak, jak wtedy, gdy pożegnałam się z nią przed snem. Ale Carmilla zniknęła.

VIII. Poszukiwania

Na widok pokoju całkowicie nietkniętego, poza śladami naszego gwałtownego wtargnięcia, uspokoiliśmy się nieco i wkrótce odzyskałyśmy dosyć rozsądku, by odprawić mężczyzn. Mademoiselle przyszło do głowy, że być może Carmillę obudził harmider przy drzwiach i zdjęta paniką zeskoczyła z łóżka, ukrywając się w szafie bądź za kotarą, skąd oczywiście nie mogła wyjść przed wycofaniem się majordomusa i jego pomagierów. Rozpoczęłyśmy zatem na nowo poszukiwania i znów nawoływałyśmy ją głośno.

Nic to jednak nie dało. Szukałyśmy dalej z coraz większym zdumieniem i niepokojem. Sprawdziłyśmy okna, ale były bezpiecznie zamknięte. Błagałam Carmillę, by, jeśli się schowała, przestała dłużej znęcać się nad nami, lecz wyszła uspokajając nasze roztrzęsione nerwy. Nic z tego. Zdążyłam już uwierzyć, że nie ma jej w pokoju ani w garderobie, której drzwi pozostawały zamknięte od strony sypialni, nie mogła więc przez nie przejść. Nie potrafiłam rozwiązać tej zagadki. Czyżby Carmilla odkryła tajemne przejście, które wedle starej gospodyni istniało niegdyś w zamku, choć zapomniano już, gdzie według tradycji dokładnie leżało? Bez wątpienia, jeśli trochę zaczekamy, wszystko się wyjaśni — choć w chwili obecnej byłyśmy doprawdy oszołomione. Minęła już czwarta i wolałam spędzić resztę godzin ciemności w sypialni madame. Ranek nie przyniósł z sobą jednak rozwiązania naszego problemu.

Następnego dnia wszyscy domownicy z ojcem mym na czele rzucili się do działania. Przeszukali każdy cal chateau, przeczesali ogród i park, nie znaleźli jednak ani śladu zaginionej panny. Już mieli zacząć trałować dno rzeki. Ojciec odchodził od zmysłów, nie wiedząc co powiedzieć matce nieszczęśnicy po jej powrocie. Ja także szalałam z niepokojem, choć moja rozpacz była zgoła innej natury.

Ranek minął w niepokojem i podnieceniu. Wybiła już pierwsza, a wciąż nie mieliśmy żadnych wieści. Pobiegłam do pokoju — i zastałam Carmillę stojącą przed toaletką. Zdumiał mnie ten widok i nie uwierzyłam własnym oczom. Przyjaciółka wezwała mnie bez słowa skinieniem smukłego palca. Na jej twarzy odbijał się krańcowy strach.

Podbiegłam do niej w radosnej ekstazie, chwyciłam w objęcia i zaczęłam obsypywać pocałunkami. Potem skoczyłam do dzwonka i szarpnęłam gwałtownie, aby ściągnąć tu innych, którzy natychmiast uspokoją mego ojca.

— Droga Carmillo, co się z tobą działo przez cały ten czas? Cierpieliśmy prawdziwe udręki, nie mogąc cię znaleźć! — wykrzyknęłam. — Gdzie się podziewałaś? I jak wróciłaś?

— Zeszła noc była nocą cudów — odparła.

— Na litość boską, wyjaśnij, ile tylko zdołasz!

— Było po drugiej zeszłej nocy — rzekła — gdy jak zwykle położyłam się do łóżka, starannie zamknawszy drzwi sypialni, garderoby i wejście nad galeryjką. Nic nie zakłócało mi snu. Z tego co pamiętam, nie dręczyły mnie żadne majaki. Lecz przed chwilą obudziłam się na sofie w garderobie i odkryłam, iż drzwi między pokojami są otwarte, a drugie wyważone. Jak to możliwe, że się nie obudziłam? Wszystkiemu musiał towarzyszyć potężny hałas, a ja mam niezmiernie lekki sen. Poza tym jak ktoś zdołał wynieść mnie z łóżka nie zakłócając mi snu, mnie, którą budzi nawet najlżejsze dotknięcie?

Tymczasem w pokoju zgromadzili się mademoiselle, madame, mój ojciec i kilkoro służby, zasypując rzecz jasna Carmillę pytaniami, gratulacjami i powitaniem. Miała im do opowiedzenia tylko jedną historię i jak my wszyscy zupełnie nie umiała w żaden sposób wyjaśnić, co zaszło.

Mój ojciec w zamyśleniu zaczął krążyć po pokoju. Dostrzegłam, jak Carmilla wodzi za nim przebiegłym, mrocznym spojrzeniem.

Kiedy odesłał służbę, a mademoiselle ruszyła na poszukiwania flaszeczki waleriany i soli trzeźwiących i w sypialni z Carmillą pozostaliśmy tylko ojciec, madame i ja, podszedł do niej z namysłem, bardzo łagodnie ujął jej dłoń, poprowadził na sofę i usiadł obok.

— Wybaczysz mi, moja droga panno, jeśli zaryzykuję pewien domysł i zadam pytanie.

— Któż miałby do tego większe prawo? — odparła. — Proszę pytać o co pan zechce, a ja powiem wszystko. Ale moja historia kryje w sobie tylko oszołomienie i mrok. Nie wiem absolutnie nic. Proszę zadawać dowolne pytania. Zna pan rzecz jasna ograniczenia, jakie narzuciła mi mama.

— Doskonale znam, moje dziecko, i nie muszę poruszać tematów, które pragnie pozostawić odłogiem. Cudowne zdarzenie zeszłej nocy polega na tym, że zniknęłaś ze swego łóżka i pokoju, tak że nikt cię nie obudził i przydarzyło się to przy zaryglowanych oknach i drzwiach zamkniętych od wewnątrz. Przedstawię ci moją teorię i zadam jedno pytanie.

Carmilla z bezradną miną wspierała głowę na dłoni, obie z madame słuchałyśmy z zapartym tchem.

— Oto moje pytanie. Czy kiedykolwiek podejrzewano cię o to, że chodzisz we śnie?

— Nigdy od czasów, gdy byłam bardzo mała.

— Ale w dzieciństwie lunatykowałaś?

— Tak, wiem o tym, bo często mówiła mi to moja stara niania.

Ojciec uśmiechnął się i pokiwał głową.

— No cóż, oto co się wydarzyło. Wstałaś we śnie, otworzyłaś drzwi, nie zostawiając klucza jak zwykle w zamku, lecz zabierając go ze sobą i zamykając od zewnątrz. Znow wyciągnęłaś klucz i zabrałaś do jednego z dwudziestu pięciu pokoiów na tym piętrze albo może na górze czy dole. Jest tu tak wiele schowków i komnat, tak wiele ciężkich mebli i najróżniejszych rupieci, iż dokładne przeszukanie całego starego domu zabrałoby tydzień. Pojmujesz teraz, co mam na myśli?

— Tak, ale nie do końca — odparła.

— A jak, papo, wyjaśnisz fakt, iż znalazła się na sofie w garderobie, którą tak dokładnie przeszukaliśmy?

— Przyszła tam po tym, jak przeszukaliśmy pokój, wciąż pogrążona we śnie, i w końcu ocknęła się sama, równie jak my wszyscy zdumiona faktem, iż się tam znalazła. Chciałbym, by wszelkie tajemnice dały się wyjaśnić tak niewinnie i prosto, jak twoją, Carmillo — dodał ze śmiechem. — I tak możemy sobie pogratulować pewności, że najnaturalniejsze wyjaśnienie owych wydarzeń nie zakłada odurzenia, majstrowania przy zamkach, włamywaczy, trucicieli ani czarownic — niczego, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu Carmilli czy też nas wszystkich.

Carmilla wyglądała doprawdy uroczo, nic nie mogło się równać z jej rumieńcem. Jej urodę podkreślała jeszcze pewna, pełna wdzięku senność, jakże dla niej typowa. Myślę, że ojciec w duchu porównywał jej wygląd z moim, rzekł bowiem:

— Chciałbym, by moja biedna Laura bardziej przypominała dawną siebie — i westchnął.

I tak nasze strachy skończyły się na niczym, a Carmilla powróciła do swych przyjaciół.

IX. Doktor

Ponieważ Carmilla nie chciała słyszeć o tym, by ktoś ze służby nocował w jej pokoju, ojciec polecił, by służący sypiał pod jej drzwiami. Dzięki temu nie mogłaby próbować podobnej wycieczki, bo zatrzymałby ją w progu.

Ta noc upłynęła spokojnie. Następnego dnia wczesnym rankiem zjawił się u mnie doktor, którego ojciec wezwał nie informując mnie ni słowem.

Madame odprowadziła mnie do biblioteki, tam czekał już poważny, drobny, siwowłosy mężczyzna w okularach, o którym już wcześniej wspominałam.

Opowiedziałam mu swoją historię i słuchając jej posępniał coraz bardziej.

Staliśmy razem we wnęce okiennej, naprzeciwko siebie. Gdy skończyłam swoją relację oparł się ramionami o ścianę i nie spuszczał ze mnie bystrego wzroku, patrząc z zainteresowaniem, w którym wyczułam też odrobinę zgrozy.

Po minucie namysłu poprosił madame, by zechciała wezwać mojego ojca.

Tak też uczyniła. A gdy wszedł z uśmiechem, powiedział:

— Przypuszczam doktorze, że powiesz mi jaki ze mnie stary dureń, że cię tu ściągnąłem. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Lecz jego twarz pociemniała, gdy doktor z bardzo poważną miną wezwał go na bok.

Jakiś czas dyskutowali zawzięcie w tej samej wnęce, w której przed chwilą naradzałam się z medykiem. Wyglądało to na żywą, pełną sporów rozmowę. Biblioteka jest bardzo duża, czekałyśmy zatem z madame płonąc z ciekawości w przeciwległym końcu. Nie słyszałyśmy ani słowa, rozmawiali bowiem bardzo cicho, a gruba wnęka okienna bardzo skutecznie ukrywała doktora przed naszym wzrokiem, niemal tak samo jak ojca. Widziałyśmy tylko jego stopę, rękę i ramię, przypuszczam też, iż ich głosy tłumiły dodatkowo grube ściany i okno.

Po jakimś czasie ojciec obejrzał się na pokój, twarz miał bladą, zamyśloną i, jak mi się zdawało, poruszoną.

— Lauro, kochanie, podejdź tu na chwilkę. Madame, doktor mówi, że nie będziemy pani kłopotać, przynajmniej chwilowo.

Podeszłam posłusznie, po raz pierwszy nieco zaniepokojona. Choć bowiem czułam się bardzo słabo, to wierzyłam, iż nie jestem chora. Zawsze też uważamy, że w razie potrzeby jakoś zdołamy dodać sobie sił.

Gdy się zbliżyłam, ojciec wyciągnął do mnie rękę, cały czas jednak patrzył na doktora.

— To z pewnością bardzo dziwne i nie do końca dla mnie zrozumiałe. Lauro, chodź tu, kochanie, posłuchaj doktora Spielsberga i postaraj sobie przypomnieć.

— Wspominała pani o wrażeniu, jakoby owej nocy, gdy pierwszy raz nawiedziły panią koszmarne sny, dwie igły przebiły pani skórę gdzieś blisko gardła. Czy nadal czuje pani ból?

— Ani trochę — odparłam.

— Zechce pani pokazać palcem miejsce, w którym to się wydarzyło?

— Odrobinę pod gardłem, o tutaj.

Nosiłam poranną suknię, która zakrywała wskazane miejsce.

— Teraz sam pan się przekona — oznajmił doktor. — Pozwolisz, pani, że jej tato odrobinę rozchyli suknię? To konieczne, by zbadać objaw choroby, którą tak bardzo ci doskwiera.

Zgodziłam się. Punkt ów leżał zaledwie cal czy dwa pod moim kołnierzykiem.

— Na Boga! A więc to prawda! — wykrzyknął ojciec i pobladł nagle.

— Teraz widzi pan na własne oczy — odrzekł doktor z ponurym tryumfem.

— Co to takiego? — zawołałam mocno wystraszona.

— Nic, moja droga, młoda damo, jedynie mała, sina kropka wielkości koniuszka twojego małego palca. A teraz — dodał odwracając się do taty — pytanie brzmi: co najlepiej z tym począć?

— Czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? — nalegałam z wielką obawą.

— Ufam, że nie, moja droga — odparł doktor. — Nie widzę powodu, czemu nie miałybyś wyzdrowieć. W istocie powinnaś natychmiast poczuć się lepiej. Czy stąd właśnie rozpoczyna się zawsze uczucie dławienia?

— Tak — odparłam.

— A — przypomnij sobie dobrze — czy to samo miejsce stanowiło ośrodek owego dreszczu, który opisałaś przed chwilą, wrażenia jakby ciało omiatał ci rwący nurt lodowatego strumienia?

— To możliwe, chyba tak.

— Ach, widzi pan — popatrzył na ojca. — Czy mam szepnąć słówko madame?

— Zdecydowanie — odparł ojciec.

Doktor wezwał do siebie piastunkę.

— Widzę, że mojej drogiej przyjaciółce daleko do zdrowia, choroba jednak nie powinna pozostawić żadnych poważnych śladów, trzeba będzie jednak podjąć pewne kroki, które wyjaśnię w cztery oczy. Tymczasem jednak, madame, zechce pani dopilnować, by panna Laura ani na moment nie pozostawała sama. To jedyna wskazówka, której mogę udzielić pani teraz, i rzecz ogromnej wagi.

— Wiem, że możemy polegać na pani dobroci, madame — dodał mój ojciec.

Madame odwróciła się doń z zapalem.

— A ty, kochana Lauro, na pewno posłuchasz zaleceń lekarza. Chciałbym też poprosić o pańską opinię na temat drugiej pacjentki, której objawy nieco przypominają te mojej córki, przed chwilą dokładnie opisane — a choć są znacznie

lżejsze, sędzę, iż przynależą do tego samego gatunku. To młoda dama — nasz gość — ale skoro mówi pan, że będzie tędy przejeżdżał jeszcze dziś wieczorem, najlepiej, jeśli zje pan z nami kolację, a potem ją zbada. Młoda panna nie schodzi do nas aż do południa.

— Dziękuję — odparł doktor. — Zjawię się zatem niezawodnie tuż po siódmej wieczór.

A potem obaj powtórzyli swe zalecenia mnie i madame, po czym ojciec pożegnał się z nami i wyszedł z doktorem. Przez chwilę przechadzali się tam i z powrotem między gościńcem i fosą, po trawiastym placu przed zamkiem, wyraźnie pogrążeni w zawziętej rozmowie.

Doktor nie wrócił, widziałam jak dosiada swojego rumaka, żegna się i odjeżdża na wschód przez las.

Niemal jednocześnie zjawił się posłaniec z Dranfield z listami; zeskoczył z siodła i wręczył torbę mojemu ojcu.

Tymczasem obie z madame krzątałyśmy się dokoła, zastanawiając się nad przyczynami owych niezwykłych, stanowczych zaleceń, jakie narzucili nam doktor i mój ojciec. Madame wspomniała później, iż obawiała się, że doktor lęka się nagłego ataku i tego, iż bez szybkiej pomocy mogą nawet stracić życie w konwulsjach albo przynajmniej odnieść poważne obrażenia.

Mnie taka interpretacja nie przyszła do głowy, uznałam zatem, zapewne szczęśliwie dla własnych nerwów, iż wszystko to miało jedynie zapewnić mi towarzyszkę, która nie pozwoli zanadto się wysilać, jeść niedojrzałych owoców czy robić pięćdziesięciu innych, niemądrych rzeczy, jakże często przychodzących do głowy młodym ludziom.

Po jakiejś półgodzinie ojciec wrócił do salonu — w dłoni trzymał list.

— Otrzymałem go z opóźnieniem — oznajmił. — To wiadomość od generała Spielsdorfa. Misze, że mógł tu dotrzeć wczoraj, być może zjawi się dopiero jutro, albo jeszcze dzisiaj.

Wsunął mi do ręki otwartą kopertę, nie wyglądał jednak na ucieszonego, choć zwykle radowało go przybycie gościa, zwłaszcza tak umiłowanego jak generał. Wręcz przeciwnie, wyglądał jakby wolał się znaleźć na dnie Morza Czerwonego — wyraźnie dręczyło go coś, czego nie chciał ujawnić.

— Tatusiu, tatusiu kochany, powiesz mi coś? — Nagle położyłam mu dłoń na ramieniu i spojrzałam, jak sądziłam, prosząco prosto w oczy.

— Może — odparł, pieszczotliwie przyglądając mi włosy na czole.

— Czy doktor sądzi, że jestem bardzo chora?

— Nie, kochanie. Uważa, że pod warunkiem podjęcia właściwych kroków, za dzień czy dwa dojdiesz do siebie, a przynajmniej znajdziesz się na dobrej drodze do całkowitego wyzdrowienia — odparł nieco cierpko. — Wolałbym, by nasz

przyjaciel generał wybrał sobie inny moment, bo chciałym, abyś przyjmując go całkowicie odzyskała zdrowie.

— Ale powiedz mi, tatusiu — nalegałam — co według niego się ze mną dzieje?

— Nic. I nie zadrezczaj mnie pytaniami — rzucił z większą irytacją niż kiedykolwiek wcześniej, a widząc moją urażoną minę ucałował mnie i dodał szybko:

— Dowiesz się wszystkiego za dzień czy dwa, to jest wszystkiego, co i mnie wiadomo. Tymczasem nie zaprzataj tym sobie główki.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z salonu, wrócił jednak, gdy wciąż rozmyślałam nad tym wszystkim i próbowałam zrozumieć znaczenie osobliwych wydarzeń, po to tylko, aby oznajmić, iż wybiera się do Karnsteinu i polecić przygotować powóz na dwunastą. Dodał, iż mamy mu towarzyszyć z madame; zamierzał spotkać się z księdzem mieszkającym nieopodal malowniczych ruin. Miał do niego ważną sprawę, a że Carmilla nie zdążyła dotąd obejrzeć ruin, mogłaby, kiedy już zejdzie, pojechać za nami z mademoiselle, która zabierze rzeczy potrzebne, by urządzić tak zwany piknik u stóp starego zamku.

Przygotowałam się zatem i dokładnie w południe zesłam do sieni. Wkrótce potem wraz z ojcem i madame wyruszyliśmy w drogę.

Pokonawszy most zwodzony skręciliśmy w prawo, podążając gościńcem przez stromy, gotycki most na zachód, aby dotrzeć do opuszczonej wsi i zrujnowanego zamku Karnsteinów.

Doprawdy nie wyobrażam sobie piękniejszej leśnej przejażdżki. Grunt pod kołami wznosił się i opadał, tworząc łagodne falujące wzgórza i dolinki porośnięte gęstym urokliwym lasem, całkowicie pozbawionym owej nienaturalnej regularności, jaką zawsze narzuca sztuczne sadzenie, ogrodnicze zabiegi i przycinanie.

Nierówności gruntu często sprawiały, że droga zbaczała z wytyczonej trasy, okrążając brzegi stromych jarów i skaliste zbocza wzgórz. Kraina wokół nas sprawiała wrażenie niemal niewyczerpanej urozmaiconej.

Na jednym z owych zakrętów natknęliśmy się nagle na naszego starego druha, generała; jechał w naszą stronę w towarzystwie konnego sługi. Tuż za nimi toczył się wynajęty wóz z bagażami.

Na nasz widok generał zeskoczył z siodła i po zwyczajowych powitaniach z łatwością dał się przekonać, by zająć wolne miejsce w powozie, a konia posłać wraz ze sługą do zamku.

X. Osierocony

Ostatnio widzieliśmy go dziesięć miesięcy wcześniej, lecz ten czas wystarczył, by dokonać w jego wyglądzie zmiany, jaka normalnie zachodzi latami. Mocno schudł, a miejsce pogody i serdeczności, jakże typowej dla jego twarzy, zajęła ponura nerwowość. Ciemnoniebieskie oczy, zawsze przenikliwe, teraz płonęły surowym blaskiem spod krzaczastych, siwiejących brwi. Nie była to zwykła zmiana, jaką sprowadza rozpacz, wyraźnie miał w niej udział także gniew i wzburzenie.

Ledwo podjęliśmy przerwana jazdę, gdy generał zaczął mówić, z typową dla siebie żołnierską bezpośredniością. Opowiadał o, jak to nazwał, osieroceniu po śmierci ukochanej siostrzenicy i podopiecznej. Następnie z przejmującą goryczą i wściekłością zaczął wyrzekać na „piekielne sztuczki”, których ofiarą padła i z większym rozdrażnieniem niżli pobożnością zastanawiał się, czemu niebiosa znoszą spokojnie tak potworne wybryki żądz i złośliwości piekieł.

Ojciec mój, który natychmiast dostrzegł, że spotkało go coś bardzo niezwykłego, poprosił, by jeśli nie jest to dlań nazbyt bolesne, dokładniej opisał okoliczności, które według generała usprawiedliwiają użycie tak mocnych słów.

— Opowiedziałbym ci z wielką chęcią — odparł generał — ale byś mi nie uwierzył.

— Dlaczegoż nie? — spytał ojciec.

— Ponieważ — odparł z irytacją tamten — nie wierzysz w nic, co nie pasuje do twoich własnych przesądów i złudzeń. Pamiętam, że kiedyś też byłem taki, ale od tej pory wiele się nauczyłem.

— Sprawdź mnie — poprosił ojciec. — Nie jestem aż tak wielkim dogmatykiem, jak uważasz. Poza tym wiem doskonale, że zazwyczaj wymagasz dowodów, by w coś uwierzyć. Jestem zatem skłonny uszanować twoje wnioski.

— Masz rację sądząc, iż niełatwo przyszło mi uwierzyć w cuda — to bowiem, czego doświadczyłem, to doprawdy nadprzyrodzony cud, i jedynie wyjątkowe dowody przekonały mnie do uznania czegoś, co diametralnie sprzeciwiało się wszelkim moim teoriom. Padłem ofiarą spisku sił nadprzyrodzonych.

Dostrzegłam, iż mimo wcześniejszych zapewnień, ojciec mój na te słowa zerknął na generała z, jak sądziłam, wyraźną podejrzliwością i niedowierzaniem.

Szczęśliwie generał tego nie dostrzegł, spoglądał bowiem ponuro na polany i połacie lasu otwierające się przed nami.

— Jedzicie do ruin Karnsteinu? — spytał. — Doprawdy, szczęśliwe to zrządzenie losu. Czy wiesz, że zamierzałem poprosić, abyś przywiózł mnie tutaj,

bym mógł je zbadać? Mam w tym własny, szczególny cel. Nie myślę się mówiąc, iż jest tam zrujnowana kaplica z wieloma grobami owego wymarłego rodu?

— Istotnie i to bardzo interesującymi — odparł ojciec. — Mam nadzieję, że zamierzasz domagać się tytułu i majątków?

Ojciec jedynie zażartował, lecz generał nie odpowiedział śmiechem ani nawet uśmiechem, jakim wypadałoby przyjąć dowcip przyjaciela. Wręcz przeciwnie, zasepił się jeszcze, słysząc wzmiankę o czymś, co budziło w nim gniew i grozę.

— Chodzi mi o coś zupełnie innego — oznajmił szorstko. — Zamierzam wykopać kilku owych szlacheckich ludzi. Z bożą pomocą chcę dokonać pobożnego bluźnierstwa, które uwolni tę ziemię od straszliwych potworów i pozwoli uczciwym ludziom spać spokojnie w łóżkach, bez narażenia na mordercze ataki. Mam ci do opowiedzenia niezwykle rzeczy, mój drogi druhu, rzeczy, w które ja sam jeszcze kilka miesięcy temu z pewnością bym nie uwierzył.

Ojciec znów zerknął na niego, lecz tym razem nie podejrzliwie, lecz raczej bystro i niespokojnie.

— Ród Karnsteinów — oznajmił — dawno już wymarł, miało to miejsce co najmniej sto lat temu. Moja najdroższa żona po linii żeńskiej wywodziła się od Karnsteinów, ale nazwisko i tytuł już nie istnieją. Zamek obrócił się w ruinę, wieś opustoszała, od pięćdziesięciu lat nie widziano tam dymu z komina, a na domach nie pozostał nawet jeden dach.

— To prawda, wiele słyszałem na ten temat od naszego ostatniego spotkania, w tym sporo rzeczy, które Was zadziwią. Lepiej jednak opowiem wszystko kolejno, od początku — powiedział generał. — Widziałeś moją kochaną podopieczną — moje dziecko, jak ją nazywałem. Nie istniało piękniejsze stworzenie. Zaledwie trzy miesiące temu rozkwitała niczym kwiat.

— O tak, biedactwo! Kiedy widziałem ją ostatnio, była doprawdy urocza — przytaknął mój ojciec. — Wieść o jej śmierci wstrząsnęła mną do głębi, mocniej niż potrafię wyrazić, drogi druhu. Wiedziałem, jak wielki to dla ciebie cios.

Ujął dłoń generała i uściśnęli sobie ręce. Do oczu starego żołnierza napłynęły łzy. Nawet nie usiłował ich ukryć.

— Od bardzo dawna blisko się przyjaźnimy, i wiedziałem, że będziesz żałował mnie, bezdzielnego. Stała się dla mnie kimś bardzo drogim i odpłacała za opiekę uczuciem, które rozświetlało mój dom i sprawiało, iż czułem się szczęśliwy. Wszystko to minęło. Zapewne nie pozostało mi już zbyt wiele lat na tej ziemi, lecz z bożą pomocą mam nadzieję przed śmiercią przysłużyć się ludzkości i zesłać pomstę niebios na złoczyńców, którzy zamordowali moje biedne dziecko w samej wiosnie urody i życia!

— Dopiero co mówiłeś, że opowiesz wszystko od początku — wtrącił mój ojciec. — Uczyn tak, proszę. Zapewniam, że nie kieruje mną wyłącznie ciekawość.

Tymczasem dotarliśmy do miejsca, w którym droga z Drunstall, którą przybył generał, odbija od gościńca zmierzającego do Karnsteinu.

— Jak daleko do ruin? — spytał generał patrząc niecierpliwie naprzód.

— Jakieś pół staj — odparł mój ojciec. — Wysłuchajmy zatem reszty historii, którą nam obiecałeś.

XI. Opowieść

— Zgadzam się z całego serca — oznajmił generał z wysiłkiem i po krótkiej chwili milczenia, kiedy porządkował myśli, rozpoczął jedną z najniezwykłych historii, jakich zdarzyło mi się wysłuchać.

— Moje najdroższe dziecko z wielką radością wyczekiwało zaaranżowanych przez ciebie łaskawie odwiedzin u twojej czarującej córki — złożył mi szarmancki, choć melancholijny ukłon. — Tymczasem otrzymaliśmy zaproszenie od mego starego druha, hrabiego Carlsfelda, którego schloss leży jakieś sześć staj po przeciwległej stronie Karnsteinu. Zapraszał nas do udziału w serii przyjęć, które, jak zapewne pamiętasz, wydawał na cześć szlachetnego gościa, wielkiego księcia Karola.

— O tak, i z tego co mi wiadomo, były to doprawdy wspaniałe uczyty.

— Książęce! Ale też hrabia słynie ze swej gościnności. Doprawdy, jakby miał lampę Alladyna. W wieczór, od którego rozpoczął się mój smutek, odbywała się wspaniała maskarada. Otwarto ogrody, drzewa obwieszono barwnymi lampionami. Podobnie cudownych fajerwerków nie oglądano nawet w Paryżu. I co za muzyka — jak wiesz, to moja słabość — cóż za porywająca muzyka! Zgromadził być może najwspanialszą orkiestrę na świecie i najlepszych śpiewaków, jakich dało się zatrudnić ze wszystkich największych europejskich oper. Gości wędrujących po fantastycznie oświetlonych ogrodach, w różowym blasku padającym z długich rzędów okien oświetlonego promieniami księżycy chateau, zaskakiwały nagle owe bajeczne głosy, rozbrzmiewające w ciszy mrocznego gaju bądź z łodzi na jeziorze. Gdy tak patrzyłem i słuchałem, miałem wrażenie, jakbym cofnął się do romantycznych, poetyckich czasów wczesnej młodości.

Kiedy fajerwerki zgasły i zaczął się bal, powróciliśmy do pysznych komnat, otwartych dla tancerzy. Jak wiesz, maskarada to prześliczny widok, lecz podobnego widowiska nigdy wcześniej nie oglądałem. Na bal przybyło bardzo arystokratyczne towarzystwo, ja sam byłem niemal jedynym „nikim”.

Moja najdroższa siostrzenica wyglądała przepięknie. Nie nosiła maski. Podniecenie i radość dodały niewypowiedzianego uroku jej już i tak pięknym rysom. Zauważyłem młodą damę, odzianą w przebogaty strój, lecz ukrytą pod maską, która zdawała się przyglądać mej podopiecznej z niezwykle zainteresowaniem. Widziałem ją wcześniej tego wieczoru w wielkiej sali, a potem przez kilka minut spacerującą nieopodal nas po tarasie pod oknami zamku. Towarzyszyła jej przyzwoitka, starsza dama, także w masce, w bogatym, poważnym stroju, dumna i wyniosła jak przystało ważnej osobie.

Gdyby młoda dama nie nosiła maski, oczywiście znacznie łatwiej stwierdziłbym, czy istotnie przygląda się memu biedactwu. Teraz jednak jestem tego pewien.

Wkrótce znaleźliśmy się w jednym z salonów. Moja nieszczęsna córunia sporo tańczyła i odpoczywała teraz chwilę w jednym z foteli przy drzwiach, ja zaś stałem nieopodal. Dwie damy, o których wspomniałem, podeszły do niej i młodsza zajęła fotel obok mojej podopiecznej. Jej towarzyszka tymczasem stanęła koło mnie i przez chwilę rozmawiała cicho ze swoją podopieczną.

Potem, wykorzystując przywileje maski, odwróciła się do mnie i tonem starej znajomej, zwracając się po imieniu, rozpoczęła rozmowę, która wielce pobudziła moją ciekawość. Dama czyniła aluzje do wielu naszych spotkań — na dworze i w szlacheckich domach, wspominała drobne incydenty, o których już dawno zapomniałem, lecz które, jak odkryłem, nadal pozostawały w zakamarkach pamięci, by na pierwszą wzmiankę natychmiast ochoczo ożyć.

Z każdą chwilą coraz bardziej ciekawiło mnie, kim ona jest, lecz wszelkie próby odkrycia zbijała śmiechem i żartami. Nie mogłem pojąć jej znajomości tak wielu wydarzeń z mojego życia, wyraźnie też doskonale się bawiła, igrając z moją ciekawością i patrząc, jak gubię się w kolejnych domysłach.

Młoda dama tymczasem, którą matka raz czy dwa nazywała osobliwym mianem Millarki, z tą samą swobodą i gracją wdała się w rozmowę z moją siostrzenicą.

Przedstawiła się mówiąc, że jej matka to moja bardzo dawna znajoma. Przemawiała z miłą śmiałością, którą umożliwia jej maska, jak bliska przyjaciółka; podziwiała suknię biedaczki, a także wielce uroczo sugerowała, iż zachwyca ją jej uroda. Zabawiała się żartobliwą krytyką ludzi zebranych w sali balowej i odpowiadała śmiechem na śmiech mojego biedactwa. Była niezwykle dowcipna i żywa, po jakimś czasie bardzo się zaprzyjaźniły. Wówczas młoda nieznajoma opuściła maskę, ukazując twarz wyjątkowej piękności. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, podobnie jak moja kochana siostrzenica. Lecz choć dla nas nowe, jej rysy były tak czarujące i pociągające, iż nie dało się nie ulec ich czarowi. To właśnie spotkało moją biedną dziewczynkę — nigdy nie widziałem, by ktokolwiek tak bardzo polubił drugiego od pierwszego wejrzenia. Chyba że sama nieznajoma, która, jak się zdawało, straciła dla niej głowę.

Tymczasem, korzystając z prawa danego przez maskaradę, zasypałem starszą damę pytaniami.

— Całkowicie mnie pani zdumiałaś — rzekłem ze śmiechem. — Czyż to nie wystarczy? Czy nie zechcesz teraz zrównać naszych szans i uczynić mi tej grzeczności, by zdjąć maskę?

— Czy może istnieć bardziej nierozsądna prośba? — odparła. — Domagać się

do damy, by zrezygnowała z przewagi! Poza tym skąd pan wiesz, że mnie rozpoznasz? Ludzie zmieniają się z wiekiem.

— Jak pani widzi — rzekłem z ukłonem i dość melancholijnym śmiechem.

— Jak twierdzą filozofowie — poprawiła. — Zresztą skąd pomysł, że widok mej twarzy mógłby panu pomóc?

— Chętnie zaryzykuję — odrzekłem. — Na próżno udaje pani starszą niewiastę, zdradza panią figura.

— A jednak minęło wiele lat, odkąd widziałam pana po raz ostatni, czy raczej pan mnie widział, to bowiem mam na myśli. Obecna tu Millarca to moja córka, nie mogę zatem być młodką, nawet w oczach ludzi, których czas nauczył łaskawości, i mogę nie chcieć, by porównywał mnie pan z obrazem, który pan zapamiętał. Pan zresztą nie masz maski i niczego nie możesz ofiarować w zamian.

— Apeluje zatem do pani litości. Zdejmij ją, proszę.

— A ja do pańskiej: pozwól jej zostać tam, gdzie jest — odparła.

— Cóż, w takim razie czy zechcesz choć pani wyjawić mi, czy jesteś Francuzką czy Niemką? Oboma językami władasz równie biegle.

— Chyba ci tego nie zdradzę, generale, bo zamierzasz mnie zaskoczyć i szykujesz się już do kolejnego ataku.

— W każdym razie nie zaprzeczy pani temu, iż skoro mam zaszczyt konwersować z panią, winienem wiedzieć, jak się do pani zwracać. Czy mam panią nazywać madame la comtesse?

Roześmiała się w odpowiedzi i bez wątpienia szykowała kolejny unik — jeśli w istocie mógłbym traktować jakiekolwiek zdanie w tej rozmowie, którą obecnie uważam święcie za zaplanowaną z góry z najwyższą perfidią, za podlegające jakimkolwiek przypadkowym zmianom.

— Co do tego... — zaczęła, lecz gdy tylko otwarła usta, przeszkodził jej dżentelmen odziany w czerń, wyglądający szczególnie wytwornie i elegancko, mimo faktu, iż nigdy w życiu nie widziałem podobnie śmiertelnie bladej twarzy, chyba że u nieboszczyka. Nie uczestniczył w maskaradzie — miał na sobie zwykły wieczorowy strój człowieka szlachetnego rodu i odezwał się bez uśmiechu, lecz z uprzejmym, nietypowo niskim ukłonem.

— Czy madame la comtesse zezwoli mi zamienić z nią kilka słów, które mogłyby ją zainteresować?

Dama obróciła się szybko ku niemu i musnęła palcem jego wargi na znak milczenia. Potem rzekła do mnie:

— Proszę nie odchodzić, generale, za chwilę wrócę, muszę tylko wysłuchać kilku słów.

Powiedziawszy to żartobliwym tonem odeszła nieco na bok z dżentelmenem w czerni i przez kilka minut rozmawiali z wielkim poruszeniem. Potem oboje

zniknęli w tłumie i na jakiś czas straciłem ich z oczu.

Tymczasem wyteżalem umysł, próbując odgadnąć tożsamość owej damy, która zdawała się mnie tak miło wspominać. Miałem właśnie podejść i dołączyć do rozmowy mej uroczej podopiecznej i córki hrabiny, licząc, że po jej powrocie zaskoczę ją, podając imię, nazwisko, tytuł, zamek i majątek. W tym momencie jednak znów się pojawiła w towarzystwie bladolicego mężczyzny w czerni, który rzekł:

— Wrócę i powiadomię madame la comtesse, gdy jej powóz zajedzie. — To rzekłszy ukłonił się i odszedł.

XII. Prośba

— Zatem stracimy towarzystwo madame la comtesse, mam wszakże nadzieję, że tylko na kilka godzin — oznajmiłem z niskim ukłonem.

— Możliwe, ale możliwe też, że potrwa to kilka tygodni. Cóż za pech, że zwrócił się do mnie akurat w tym momencie! Wiesz już pan, kim jestem?

Zapewniłem, że nie.

— Zatem dowiesz się pan — oznajmiła — ale nie w tej chwili. Jesteśmy starszymi i bliższymi przyjaciółmi niż pan zapewne podejrzewa. Na razie nie mogę się ujawnić. Za trzy tygodnie będę przejeżdżał obok pańskiego pięknego zamku, o który wcześniej pytałam. Wówczas złożę panu wizytę na godzinę czy dwie i odnowię znajomość, którą wspominam zawsze z najwyższą przyjemnością. Na razie pewna wiadomość raziła mnie jak gromem; muszę wyruszyć w podróż niezwykle trudnym szlakiem, liczącym sobie niemal sto mil, i to z największym pośpiechem. A to nie koniec mych kłopotów. Jedyne przymus, który nie pozwala mi ujawnić nazwiska, powstrzymuje mnie przed zwróceniem się do pana z osobliwą prośbą. Moja biedna córka nie odzyskała jeszcze do końca sił po upadku wraz z koniem podczas polowania, które pragnęła oglądać; jej nerwy nie doszły jeszcze do siebie po tym wstrząsie i nasz lekarz twierdzi, że w żadnym wypadku nie powinna się wysilać. Przybyliśmy zatem tutaj, krótkimi, łatwymi etapami — najwyżej sześć staj dziennie. Teraz jednak zmuszona jestem podróżować dniem i nocą w sprawach życia i śmierci — tak wielkiej wagi i znaczenia, że mogę je wyjawiać dopiero przy ponownym spotkaniu, do którego, jak liczę, dojdzie za kilka tygodni. Wówczas będę mogła wyznać panu wszystko.

Następnie złożyła swą prośbę i uczyniła to tonem osoby, która raczej czyni łaskę niżli o nią błaga. Zdawało się jednak, iż sprawił to jedynie jej ton, zapewne nieświadomy, wyrażała się bowiem prosząco, wręcz błagalnie. Chodziło tylko o to, bym zgodził się na czas jej nieobecności zaopiekować jej córką.

Zważywszy na okoliczności była to osobliwa, by rzec bezczelna, prośba. W pewnym sensie nieznamoma rozbroiła mnie przyznając to sama i wyliczając wszystkie powody, dla których mógłbym odmówić, a potem zdając się całkowicie na moją rycerskość. W tym samym momencie zrządzeniem nieszczęsnego losu — można by sądzić, iż to przeznaczenie! — podeszła do mnie moja biedna siostrzenica i szeptem zaczęła błagać, bym zaprosił do nas z wizytą jej nową przyjaciółkę, Millarkę. Okazało się, iż ukradkiem wypytała ją o tę możliwość i uznała, że jeśli jej mama się zgodzi, Millarca wielce się ucieszy.

W innych okolicznościach poleciłbym jej zaczekać nieco, póki przynajmniej nie

dowiemy się, kim są. Ale nie miałem nawet chwili na zastanowienie. Dwie damy przypuściły wspólny atak, a muszę wyznać, iż wyrafinowane, urocze liczko owej młodej panny, mającej w sobie coś niezwykle pociągającego, jak również elegancję i wyniosłość właściwą wysokim rodem, pomogło mi podjąć decyzję. Toteż pokonany poddałem się i zbyt lekko podjąłem opieki nad młodą damą, którą matka nazywała Millarką.

Hrabina skinęła na córkę, która słuchała z głęboką powagą, jak opisuje jej ogólnikami nagłe, nie znoszące zwłoki wezwanie oraz ustalenia poczynione co do pieczy nad nią. Dodała przy tym, że jestem jednym z jej najstarszych i najbardziej cenionych przyjaciół.

Sam oczywiście wygłosiłem formułki stosowne do okoliczności i dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, iż znalazłem się w wielce nieprzyjemnym położeniu.

Dżentelmen w czerni powrócił i bardzo uroczyście wyprowadził damę z sali. Jego zachowanie miało mi pokazać, iż hrabina to osobistość znacznie ważniejsza niż sugerowałby to skromny tytuł.

Ostatnią prośbą pod moim adresem, jaką wygłosiła, było zaniechanie prób dowiedzenia się o niej czegoś więcej niż już odgadłem, aż do jej powrotu. Nasz szacowny gospodarz, którego była gościem, znał kierujące nią powody.

— Tu jednak — dodała — ani ja, ani moja córka nie możemy pozostać bezpiecznie dłużej niż jeden dzień. Jakąś godzinę temu nieostrożnie na moment zdjęłam maskę i zbyt późno wydało mi się, żeś mnie pan ujrzał. Postanowiłam zatem skorzystać ze sposobności, by z panem pomówić. Gdybym odkryła, żeś mnie pan zobaczył, zdałabym się na pańską łaskę i honor, byś zachował moją tajemnicę. Tymczasem rada jestem, że mnie nie widziałeś. Jeśli jednak podejrzewasz teraz lub po namyśle odgadniesz kim jestem, mogę się odwołać wyłącznie do twego honoru. Moja córka także dochowa tajemnicy i wiem doskonale, że od czasu do czasu będziesz jej pan przypominał, by nie zapomniała o ostrożności.

Wyszeptała kilka słów do córki, ucałowała ją dwukrotnie w pośpiechu i odeszła w towarzystwie bladego dżentelmena w czerni, aby zniknąć w tłumie.

— W sąsiedniej komnacie — powiedziała Millarca — okno wychodzi na drzwi sieni. Chciałabym jeszcze raz spojrzeć na mamę i posłać jej pocałunek.

Zgodziliśmy się rzecz jasna, towarzysząc jej do okna. Wyjrzawszy, ujrzelśmy niebrzydki, staroświecki powóz, otoczony gromadą dworaków i lokajów. Smukły, bladolicy dżentelmen w czerni uniósł gruby aksamitny płaszcz i zarzucił jej na ramiona, naciągając kaptur na głowę. Pozdrowiła go skinieniem głowy i musnęła palcami jego dłoń. On zaczął kłaniać się nisko raz po raz, a tymczasem drzwi powozu trzasnęły i zaprzęg ruszył naprzód.

— Odjechała — szepnęła Millarca z westchnieniem.

— Odjechała — powtórzyłem do siebie, po raz pierwszy po pośpiechu

ostatnich chwil, które upłynęły od mojej zgody pojawiwszy, jak nieroztropnie się zachowałem.

— Nie spojrziała w górę — dodała z żalem młoda dama.

— Być może hrabina zdjęła maskę i nie chciała pokazywać twarzy — podesunąłem. — A poza tym nie wiedziała, że stoisz pani przy oknie.

Dziewczyna westchnęła i spojrziała wprost na mnie. Była tak piękna, że się poddałem; było mi wręcz przykro, że na moment pożałowałem w duchu własnej gościnności i postanowiłem wynagrodzić jej swą niewypowiedzianą, lecz przecież widoczną niechęć.

Młoda dama, z powrotem nałożywszy maskę, dołączyła do mojej podopiecznej i razem zaczęły mnie namawiać na powrót do ogrodów, gdzie wkrótce miał znów się rozpocząć koncert. Tak też uczyniliśmy i długo spacerowaliśmy po tarasie pod zamkowymi oknami.

Millarca bardzo się do nas zbliżyła i zabawiała nas barwnymi opisami i anegdotami na temat większości ważnych osobistości, które widzieliśmy na tarasie. Z każdą chwilą lubiłem ją coraz bardziej. Jej ploteczki, pozbawione złośliwości, okazały się nader zajmujące, zwłaszcza dla kogoś, kto tak jak ja dawno nie bywał w wielkim świecie. Pomyślałem z radością, jak bardzo ożywi nasze czasami samotne wieczory w domu.

Bal zaczął dobiegać końca dopiero, gdy na horyzoncie zapłonęły pierwsze łuny. Wielki książę lubił tańczyć aż do rana, toteż wierni poddani nie mogli odejść wcześniej ani nawet pomyśleć o śnie.

Właśnie precyzyjnie się przez zatłoczony salon, gdy siostrzenica spytała, co się stało z Millarką. Sądziłem, że jest z nią, ona natomiast myślała, że ze mną. W istocie okazało się, że ją zgubiliśmy.

Wszelkie moje wysiłki odszukania dziewczyny spełzły na niczym. Obawiałem się, że w zamieszaniu na moment odłączyła się od nas i błędnie wzięła za swych nowych przyjaciół zupełnie obcych ludzi, po czym podążając za nimi zabłądziła w rozległych ogrodach, które nam udostępniono.

Dopiero teraz z pełną mocą pojąłem, jak nieroztropnie postąpiłem, przyjmując pod swą opiekę młodą damę, choć nie znałem nawet jej nazwiska. A skrepowany przyrzeczeniem, którego powodów nie pojmowałem, nie mogłem nawet wypytując o nią wyjaśnić, iż chodzi o córkę hrabiny, która odjechała kilka godzin wcześniej.

Nastał ranek i było już jasno, gdy zrezygnowałem z poszukiwań. Dopiero o drugiej następnego dnia usłyszeliśmy znowu o mojej zaginionej podopiecznej.

O tej porze bowiem do drzwi siostrzenicy zastukał służący, mówiąc, iż pewna wielce poruszona młoda dama prosiła go usilnie, by się dowiedział gdzie może znaleźć generała barona Spielsdorfa i jego dostojną córkę, której opiece powierzyła ją matka.

Mimo lekkich nieścisłości nie było wątpliwości, że oto znalazła się nasza młoda przyjaciółka. Tak też się stało w istocie. Och, jakże żałuję, że nie zginęła na zawsze!

Aby wyjaśnić, czemu tak długo nas nie odszukała, opowiedziała mojej nieszczęsnej dziewczynce całą historię. Twierdziła, że bardzo późno, straciwszy wiarę, że nas odnajdzie, trafiła do pokoju gospodyni i zasnęła tam głęboko. Lecz ów długi sen nie wystarczył, by w pełni przywrócić jej siły po męczącym balu.

Tego dnia Millarca wróciła z nami do domu. Rad byłem mimo wszystko, iż znalazłem mojej drogiej dziewczynce tak czarującą towarzyszkę.

XIII. Gajowy

Wkrótce odkryłem jednak pewne niemiłe strony tego układu. Po pierwsze, Millarca uskarżała się na niezwykłą apatię — słabość pozostałą po niedawnej chorobie — i nigdy nie opuszczała pokoju aż do wczesnego popołudnia. Po drugie, przypadkowo odkryto, że choć zawsze zamykała drzwi od środka i nigdy nie wyjmowała klucza z zamka, póki nie wpuściła pokojówki, by ta pomogła jej w toalecie, od czasu do czasu niewątpliwie zniknęła ze swej sypialni bardzo wczesnym rankiem, a także później za dnia, nim zechciała dać nam znać, że się przebudziła. Często widywano ją z okien zamku o pierwszym szarym brzasku, spacerującą wśród drzew i zmierzającą na wschód, niczym osoba pogrążona w transie. To mnie przekonało, że chodzi we śnie. Hipoteza ta jednak nie wyjaśniała zagadki. W jaki sposób opuszczała swój pokój, zamknięty od wewnątrz? Jak wymykała się z domu, nie otwierając drzwi ani okna?

Oprócz tych zagadek pojawił się jednak bardziej dręczący niepokój. Moja kochana siostrzenica zaczęła tracić urodę i zdrowie. Działo się to w sposób tak tajemniczy, wręcz straszny, że patrzyłem z prawdziwym przerażeniem.

Z początku nawiedzały ją odrażające sny. Potem wyobraziła sobie widmo, czasem podobne do Millarki, czasem pod postacią niewyraźnej bestii okrążającej jej łożę z boku na bok.

Później pojawiły się odczucia. Jedno, nawet przyjemne lecz bardzo osobliwe, przypominało lodowaty strumień płynący w piersi, później czuła coś jakby parę wielkich igieł wbijających się tuż pod gardłem; towarzyszył temu bardzo ostry ból. Kilka nocy później pojawiło się stopniowo narastające wrażenie dławienia, następnie nieświadomość.

Słyszałam wyraźnie każde słowo miłego, starego generała, bo wówczas jechaliśmy już wśród krótkich traw, rosnących po obu stronach drogi, która zbliżała się do pozbawionej dachów wioski, gdzie od ponad pół wieku nie dymił żaden komin.

Możecie sobie wyobrazić, jak dziwnie się czułam, słysząc równie dokładny opis moich własnych objawów u nieszczęsnej dziewczyny, która, gdyby nie katastrofa, jaka ją spotkała, w tym momencie odwiedzałyby chateau mego ojca. Z pewnością odgadniecie też, co myślałam, słysząc jak opisuje z detalami nawyki i tajemnicze osobliwości naszego pięknego gościa, Carmilli!

W lesie otwarła się polana, nagle znaleźliśmy się pośród kominów i wysokich ścian szczytowych opuszczonej wioski. Przed nami wyrastały wieże i blanki zrujnowanego zamczyska. Wokół rosły gigantyczne drzewa, których konary

zwieszały się nad nami.

Jak w przerażającym śnie wysiadłam z powozu i w milczeniu, bo każdy z nas pogrążył się w zadumie, wspięliśmy się na wzniesienie i wkrótce ujrzelśmy przestronne komnaty, kręte schody i mroczne korytarze zamku.

— Tu zatem mieściła się niegdyś pyszna siedziba rodu Karnsteinów! — rzekł w końcu stary generał, wyglądając z wielkiego okna na wioskę i bezkresną, falującą połąć puszczy. — Zły był to ród, tu zaś zapisano jego krwawe dzieje — podjął. — Co gorsza i po śmierci dręczą ludzką rasę swymi ohydnyimi żądzami. Tam w dole widać kaplicę Karnsteinów — pokazał ręką szare mury gotyckiego budynku, widoczne częściowo pośród roślinności, nieco dalej na zboczu. — Słyszę też siekierę gajowego — dodał — krzątającego się pośród otaczających ją drzew. Być może zdoła udzielić nam informacji, których szukam i wskaże grób Mircalli, hrabianki Karnstein. Prości ludzie często zachowują miejscowe tradycje wielkich rodów, choć pośród bogatych i utytułowanych ich historie zapomniano, gdy tylko same rody wymarły.

— Mamy w domu portret Mircalli, hrabianki Karnstein. Chciałbyś go obejrzeć? — spytał ojciec.

— Zdamę to jeszcze uczynić, drogi druhu — odparł generał. — Wierzę, że widziałem oryginał, a jednym z powodów, które przywiodły mnie tu wcześniej niż z początku planowałem, było zbadanie kaplicy, do której się zbliżamy.

— Co takiego? Jak mogłeś widzieć hrabiankę Mircallę — wykrzyknął mój ojciec — skoro nie żyje od ponad stulecia?

— Nie jest ponoć tak martwa, jak byś sądził — odparł generał.

— Wyznaję, generale, że całkowicie mnie zaskakujesz — ojciec spojrział na niego, i, jak mi się zdało, przez moment w jego oczach pojawiła się wcześniejsza podejrzliwość. Choć jednak generał chwilami zachowywał się szorstko i z urazą, nie miał w sobie ni cienia podstęp.

— Przez nieliczne lata — rzekł, gdy przechodziliśmy pod ciężkim łukiem gotyckiego kościoła: bo jego proporcje sugerowały ten właśnie styl architektury — które pozostały mi jeszcze na tym padole, pozostał mi tylko jeden cel, wyrzucić na niej zemstę, którą dzięki Bogu może dopełnić ręka śmiertelnika.

— O jakież to zemście mowa? — spytał mój ojciec z rosnącym zdumieniem.

— Zamierzam ściąć głowę potwora — odparł generał z gwałtownym rumieńcem i tupnął głośno, tak że echo rozeszło się wśród ruin. Jednocześnie uniósł zaciśniętą pięść, jakby ścisnął w niej rękojeść topora i potrząsnął gwałtownie w powietrzu.

— Co takiego? — wykrzyknął mój ojciec, jeszcze bardziej oszołomiony.

— Chcę jej odciąć głowę.

— Odciąć jej głowę?

— Owszem, siekierą, łopata, czymkolwiek, co zdoła przeciąć morderczą szyję. Sam się przekonasz — dodał dygocząc z wściekłości, po czym spiesząc naprzód dodał. — Ta belka posłuży nam za siedzisko. Twoja kochana córka się zmęczyła. Niechaj usiądzie, a ja w kilku zdaniach dokończę swoją ponurą opowieść.

Ociosany kawał drewna leżący na zarośniętej trawą posadzce kaplicy tworzył ławę, na której chętnie przysiadłam. Tymczasem generał zawołał gajowego, który obcinał gałęzie napierające na stare mury. Wkrótce stanął przed nami mocarny starzec z siekierą w dłoni.

Nie potrafił nic rzec na temat tutejszych pomników, był jednak pewien mężczyzna, leśniczy, obecnie goszczący w domu księdza dwie mile stąd, który umiał opisać każdy grobowiec starego rodu Karnsteinów. Za parę groszy zobowiązał się sprowadzić go tutaj, jeśli użyczymy mu jednego z koni, i wrócić za najwyżej pół godziny.

— Czy długo już pracujesz w tym lesie? — spytał starca mój ojciec.

— Byłem tu gajowym — odparł swą gwarą — podległym leśniczemu całe swoje życie, podobnie mój ojciec i tak dalej, przez więcej pokoleń niż umiałbym zliczyć. Mogę państwu pokazać dom w tej wiosce, w którym mieszkali moi przodkowie.

— Dlaczego ludzie ją opuścili? — wtrącił generał.

— Nawiedzały ją zjawy, panie. Kilka odnaleziono w ich grobach, poddano zwyczajowym próbom i unicestwiono jak każe zwyczaj, odrąbując głowy, przebijając kołkiem i paląc. Wcześniej jednak zginęło wielu wieśniaków. Lecz po tym wszystkim, mimo iż zgodnie z prawem otwarto tak wiele grobów i tak wiele wampirów uwolniono od straszliwego nibyżycia, wieś nie zaznała spokoju. Aż pewien szlachcic z Moraw, który przypadkiem zapuścił się w te strony, usłyszał o naszych kłopotach, a będąc obeznanym — jak wielu jego ziomków — w podobnych sprawach, zaproponował, iż uwolni wieś od prześladowcy. Uczynił co następuje: pewnej nocy, gdy księżyc świecił jasno, wspiął się tuż przed świtem na wieżę tutejszej kaplicy, z której wyraźnie widział cmentarz pod sobą; widać go z tego tu okna. Ze swego miejsca patrzył, aż nie dostrzegł, jak wampir wychodzi z grobu, odkłada na bok płócienny całun, którym go odkryto, po czym płynie w stronę wioski, by dręczyć jej mieszkańców.

Ujrawszy to, nieznajomy zszedł z dzwonnicy, zabrał płócienny całun wampira i zaniósł go na szczyt wieży. Kiedy wampir powrócił z łowów i nie znalazł okrycia, wykrzyknął wściekle do Morawianina, którego dostrzegł na górze i który w odpowiedzi skinął na niego, by wspiął się i zabrał co swoje. Wampir, przyjąwszy zaproszenie, począł wdrapywać się na dzwonnice. Gdy tylko dotarł na górę, Morawianin jednym szybkim cięciem rozplątał mu czaszkę na dwoje i cisnął truchło na cmentarz, po czym zbiegłszy krętymi schodami, odrąbał mu głowę i

następnego dnia dostarczył wraz z ciałem wieśniakom, którzy natychmiast przebili je i spalili.

Ów szlachcic z Moraw przywiózł także upoważnienie od głowy rodu, by usunąć grobowiec Mircalli, hrabianki Karnstein i uczynił to tak skutecznie, że wkrótce zapomniano, gdzie stał wcześniej.

— Możesz pokazać nam to miejsce? — spytał z zapałem generał.

Gajowy z uśmiechem pokręcił głową.

— Żadna żywa dusza go nie znajdzie — odparł. — Poza tym mówią, że zabrano jej ciało, ale i tego nikt nie jest pewien.

To rzekłszy, świadom pośpiechu zostawił siekierę i odszedł, pozwalając nam wysłuchać dokończenia niezwyklej historii generała.

XIV. Spotkanie

— Moje ukochane dziecko — podjął generał — z każdym dniem coraz bardziej słabło. Zajmujący się nią lekarz nie zdołał osiągnąć nawet najlżejszej poprawy w chorobie, wówczas bowiem sądziłem, że to choroba ją dotknęła. Widząc mój niepokój, zaproponował konsultację. Wezwałem zatem na konsylium bardziej doświadczonego lekarza z Gratzu; zjawił się dopiero po kilku dniach. Był to człek poczciwy i pobożny, a także wielce uczony. Zbadawszy nieszczęśnicę, zamknęli się razem w bibliotece, by się naradzić. Ja z sąsiedniego pokoju, w którym czekałem na wezwanie, słyszałem ich podniesione, ostre głosy, najwyraźniej toczyli dyskusję nie tylko czysto filozoficzną. Zastukałem do drzwi, wszedłem i odkryłem, że stary lekarz z Gratzu upiera się przy swej teorii. Jego rywal wyśmiewał ją, szydząc bezlitośnie do wtóru wybuchów śmiechu. Gdy się zjawiłem, zaprzestał jednak owych niestosownych zachowań i sprzeczka dobiegła końca.

— Panie — rzekł pierwszy lekarz — mój uczony brat sądzi najwyraźniej, że szukasz magika, nie doktora.

— Proszę o wybaczenie — odparł stary lekarz z Gratzu, wyraźnie niezadowolony. — Innym razem przekażę panu własne poglądy na tę sprawę. Żałuję, monsieur le general, że moja wiedza i umiejętności na nic się panu zdadzą. Nim jednak odejdę, pozwolę sobie coś zasugerować.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym usiadł za stołem i zaczął pisać.

Głęboko zawiedziony ukłoniłem się, a gdy się odwróciłem, drugi lekarz wskazał ręką swego zajętego pisaniem towarzysza, po czym wzruszywszy ramionami postukał się znacząco palcem w czoło.

Konsultacja zatem pozostawiła mnie dokładnie w punkcie wyjścia. Wszedłem do ogrodu, mocno poruszony. Tam właśnie po jakimś kwadransie dogonił mnie doktor z Gratzu. Przeprosił za swe natręctwo, rzekł jednak, że nie mógłby z czystym sumieniem odejść, nie zamieniwszy wcześniej jeszcze kilku słów. Oznajmił, iż nie może się mylić: żadna naturalna choroba nie daje podobnych objawów, a śmierć jest już bardzo blisko. Pozostawał jednak dzień czy nawet dwa życia. Gdyby natychmiast udało się powstrzymać śmiertcionośny atak, dzięki wielkiej trosce i starannej opiece można by doprowadzić do tego, by chora odzyskała siły. Wszystko jednak wisiało na włosku i jeszcze jedna napaść mogłaby zdmuchnąć ostatnią iskrę życia, która i tak już niemal zupełnie zgasła.

— A cóż to za atak, o którym mowa? — dopytywałem się.

— Wszystko wyjaśniłem dokładnie w tym liście, który wsuwam panu do rąk pod kategoriycznym warunkiem, by posłał pan po najbliższego duchownego i

otworzył go dopiero w jego obecności. Kategorycznie nie wolno panu przeczytać listu, nim się tu nie zjawi. W przeciwnym razie mógłby pan go zlekceważyć, a to kwestia życia lub śmierci. Dopiero gdyby książdz odmówił przyjazdu, wówczas może pan przeczytać list.

Nim w końcu się pożegnał, spytał, czy chciałbym spotkać się z pewnym człowiekiem, który dokładnie zgłębił kwestie jakie, po lekturze listu, zapewne zainteresują mnie nade wszystko inne. Nalegał też usilnie, abym go zaprosił. To rzekłszy pożegnał się ze mną.

Duchownego nie było w domu, sam więc przeczytałem list. Innego dnia, w innym przypadku zapewne bym go wyśmiał, lecz dobrze wiemy, do jakich szarlatanerii gotowi są uciec się ludzie szukający ostatniej deski ratunku, gdy w grę wchodzi życie ukochanej osoby, a wszelkie inne sposoby zawiodły. Nic jednak nie mogło zabrzmieć bardziej absurdalnie niż list owego uczonego męża. Był dostatecznie potworny, by skazać go na zamknięcie w przytułku dla wariatów. Twierdził, że pacjentka cierpi z powodu odwiedzin wampira! Ukłucia, które opisała, poczynione tuż pod gardłem były, jak się upierał, wbiciem dwóch długich, wąskich i ostrych zębów, które jak wiadomo wyróżniają wampiry; nie ma też wątpliwości, dodał, co do obecności wyraźnego, niewielkiego, czerwonego znaku odpowiadającego dokładnie opisowi odcisku warg demona, a każdy objaw choroby biedaczki idealnie odpowiada tym towarzyszącym przypadkom podobnych odwiedzin.

Podchodziłem sceptycznie co do samego istnienia podobnych zjaw, toteż nadprzyrodzone teorie pocziwego doktora stanowiły w mojej opinii kolejny dowód tego, jak wiedza i inteligencja często łączy się osobliwie z omamami. Czułem się jednak tak bardzo nieszczęśliwy, że zamiast czekać z próżnymi rękami, wypełniłem polecenia z listu.

Ukryłem się w ciemnej garderobie, połączonej z sypialnią nieszczęsnej pacjentki, w której płonęła świeca, i czuwałem tam, póki nie zasnęła. Stałem w drzwiach wyglądając przez niewielką szczelinę, obok na stole, zgodnie ze wskazówkami, położyłem szpadę. W końcu kilka minut po pierwszej ujrzałem duży, ciemny przedmiot kształtów nieokreślonych; zdawał się pełznąć do stóp łoża, po czym szybko uniósł się do gardła biedaczki. Tam po sekundzie spęczniał w wielką pulsującą masę.

Przez kilka sekund stałem jak sparaliżowany, następnie skoczyłem naprzód ze szpadą w dłoni. Czarny stwór nagle cofnął się do stóp łoża, przepłynął nad nim i zatrzymał się na podłodze dwa kroki dalej. Tam właśnie ujrzałem Millarkę, przygważdżającą mnie morderczym i zarazem przerażonym wzrokiem. Sam nie wiem, co wówczas myślałem, lecz natychmiast ciąłem szpadą, wtedy jednak zobaczyłem ją przy drzwiach, nietkniętą. Przerażony, ścigałem ją i znów pchnąłem.

Millarca zniknęła, a moja szpada trafiła w drzwi i rozprysła się na kawałki.

Nie potrafię wam opisać wszystkich wydarzeń owej upiornej nocy. Cały dom zerwał się na równe nogi. Widmo Millarki zniknęło, lecz jej ofiara błyskawicznie traciła siły i jeszcze przed świtem umarła.

Stary generał wyraźnie się denerwował. Nie odzywaliśmy się do niego. Ojciec odszedł kawałek na bok i zaczął czytać inskrypcje na nagrobkach. Tak zajęty zbliżył się do drzwi bocznej kaplicy. Generał wsparty o ścianę otarł załzawione oczy i westchnął ciężko. Ulżyło mi, gdy usłyszałam głosy Carmilli i madame zbliżających się do nas. Nagle ucichły.

Wówczas w owej samotni, po wysłuchaniu tak niezwyklej opowieści, wiążącej się ze szlachetnymi, utytułowanymi nieboszczykami, których pomniki niszczały pośród kurzu i bluszczu wokół nas, opowieści tak blisko powiązanej z moim własnym, tajemniczym przypadkiem — w tym nawiedzonym miejscu, w mrocznym cieniu roślin pleniących się ze wszystkich stron, bujnych i wyniosłych ponad milczącymi murami, zaczęła ogarniać mnie groza i serce ścisnęło mi się na myśl, iż przyjaciółki być może nie zajrzą tu i nie naruszą owej smętnej, złowieszczej ciszy.

Stary generał wbijał wzrok w ziemię, rękę opierał na podstawie strzaskanego pomnika.

Pod wąskim, sklepieniem przejściem, nad którym zasiadał demoniczny, groteskowy stwór z rodzaju tych, które uwielbiali skłonni do makabrycznych ozdób gotyccy rzeźbiarze, z wielką radością zobaczyłam piękne oblicze i sylwetkę Carmilli, wkraczającej w półmrok kaplicy.

Miałam właśnie wstać i przemówić, pozdrawiając ją w odpowiedzi na jej szczególnie ujmujący uśmiech, gdy stojący obok starzec z krzykiem chwycił siekiere gajowego i skoczył naprzód. Na jego widok w jej rysach zaszła wstrząsająca zmiana, natychmiastowa złowieszcza transformacja, gdy Carmilla cofnęła się i przykucnęła. Nim zdążyłam krzyknąć, generał uderzył z całych swych sił. Ona jednak uskoczyła przed ciosem i nietknięta chwyciła go drobną dłonią za przegub. Przez moment szamotał się, próbując uwolnić rękę, potem jego palce się rozwarły, siekiera poleciała na ziemię, a dziewczyna zniknęła.

Generał zachwiał się i oparł o mur, siwe włosy zjeżyły mu się na głowie, twarz lśniła od potu, jakby balansował na granicy śmierci.

Przerażająca owa scena po chwili minęła. Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam potem, była madame, stojąca przede mną i niecierpliwie powtarzająca raz po raz pytanie.

— Gdzie jest mademoiselle Carmilla?

— Nie wiem... — odpowiedziałam w końcu. — Nie potrafię rzec... Poszła tamtędy — i pokazałam ręką drzwi, przez które właśnie wkroczyła madame —

zaledwie minutę czy dwie temu.

— Ale ja przecież stałam w przejściu, odkąd mademoiselle Carmilla wkroczyła do środka, a ona nie wróciła!

Zaczęła tedy nawoływać Carmillę przez wszystkie drzwi i przejścia, a także przez okna, nie doczekała się jednak odpowiedzi.

— Nazwała się Carmillą? — spytał wciąż poruszony generał.

— To Carmilla, owszem — odparłam.

— Ależ — odparł — to Millarca! Nie kto inny, jak osoba, którą dawno temu zwano Mircallą, hrabianką Karnstein. Odejdź z tego przeklętego miejsca, moje biedne dziecko, odejdź najszybciej jak możesz. Jedź do domu duchownego i zostań tam do czasu naszego przybycia. Odejdź stąd! Obyś nigdy więcej nie ujrzała Carmilli; tu jej nie znajdziesz.

XV. Męka i egzekucja

W chwili, gdy to mówił, w drzwiach kaplicy, tych samych, przez które przybyła i odeszła Carmilla, stanął jeden z najosobliwiej wyglądających mężczyzn, jakich kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Był to człek słusznego wzrostu, zgarbiony, o zapadniętej piersi i sterczących ramionach, od stóp do głów w czerni. Jego twarz, brązową i zasuszoną, pokrywały głębokie bruzdy. Nosił kapelusz dziwnego kształtu z szerokim rondem, włosy, długie i posiwiałe opadały mu na ramiona. Na nosie nosił binokle w złotej oprawie, poruszał się powoli, dziwnie posuwistym krokiem, czasami zwracając twarz ku niebu, czasami skłaniając się nisko ku ziemi z niezmiennym uśmiechem na twarzy. Kołysał przy tym długimi, chudymi rękami i dłońmi w starych, czarnych, wyraźnie za dużych rękawiczkach, wymachując nimi i gestykulując w niezrozumiały sposób.

— To właśnie o nim mowa! — wykrzyknął generał podchodząc z ewidentną radością. — Mój drogi baronie, jakże się cieszę, że cię widzę. Nie liczyłem na to, że spotkamy się tak szybko.

Skinął na mego ojca, który do tego czasu wrócił i poprowadził mu na spotkanie fantastycznego, starego dżentelmena, którego nazywał baronem. Przedstawił ich sobie oficjalnie i natychmiast zagłębili się w ożywionej rozmowie. Obcy wyjął z kieszeni zwój papieru i rozłożył na zwietrzałej powierzchni najbliższego grobowca. W palcach trzymał pudełko ołówków, którymi kreślił wyimaginowane linie między punktami na zwoju — z faktu, iż wszyscy trzej często zerkali znad niego na wybrane szczegóły budowli, wywnioskowałam, że musiał to być plan kaplicy. Wywód swój, jeśli tak go nazwać, uzupełniał od czasu do czasu odczytując ustępy z przybrudzonego notatnika o gęsto zapisanych pożółkłych kartkach.

Wciąż pogrążeni w rozmowie, ruszyli razem boczną nawą, naprzeciw miejsca, w którym stałam, po czym zaczęli odmierzać krokami odległości. Wreszcie zatrzymali się przed boczną ścianą, którą zaczęli starannie badać i oglądać, zrywając porastający ją bluszcz i ostukując tynk swymi laskami, tu skrobiąc, ówdzie pukając. W końcu upewnili się co do istnienia szerokiej marmurowej tablicy z wyrzeźbionymi literami.

Z pomocą gajowego, który wkrótce wrócił, odsłonili monumentalną inskrypcję i rzeźbioną tarczę herbową. Był to w istocie z dawien zapomniany nagrobek Mircalli, hrabianki Karnstein.

Stary generał, choć lękał się, iż nie był w nastroju do modłów, wzniósł ku niebu oczy i ręce w niemej podzięce za tę chwilę.

— Jutro — usłyszałam — przybędzie tu komisarz, a wówczas przeprowadzimy sąd zgodnie z wymogami Inkwizycji.

Następnie zwrócił się do starego mężczyzny w złotych binoklach, którego wam opisałam, i ujął ciepło obie jego dłonie.

— Baronie, jak panu dziękować? Jakże mamy wszyscy dziękować? Wyłącznie dzięki panu uwolnimy okolicę od plagi, która od ponad stulecia dręczy tutejszych mieszkańców. Dzięki Bogu w końcu udało się wytropić owego straszliwego wroga.

Ojciec mój odprowadził nieznanego na bok, generał podążył za nimi. Wiem, że nie chciał, bym usłyszała, jak opisuje im mój przypadek, widziałam też, jak w trakcie dyskusji zerkali na mnie ukradkiem.

W końcu ojciec podszedł do mnie, zaczął całować raz po raz i wyprowadził z kaplicy, mówiąc:

— Czas już wracać, lecz nim ruszymy w drogę, musimy odwiedzić księdza dobrodzieja, który mieszka niedaleko, i namówić, by zechciał towarzyszyć nam do zamku.

W tej misji powiodło nam się znakomicie i ucieszyłam się, kiedy dotarliśmy do domu, bo doskwierało mi przemożne zmęczenie. Lecz moja radość zmieniła się w rozpacz, gdy odkryłam, że nikt w zamku nie widział Carmilli. Nie wyjaśniono mi sceny, jaka rozegrała się w ruinach kaplicy, i pojęłam, że to tajemnica, której ojciec, przynajmniej na razie, nie ma zamiaru ujawniać.

Złowroga nieobecność Carmilli potęgowała jeszcze grozę owej zapamiętanej sceny. Na noc poczyniono niezwykle przygotowania. Dwie służące i madame miały siedzieć do rana w mojej sypialni; duchowny i ojciec czuwali w sąsiadującej z nią garderobie.

Ksiądz odprawił tej nocy pewne uroczyste obrzędy. Nie rozumiałam zupełnie, czemu miały służyć, tak jak nie pojmowałam wyjątkowych środków ostrożności, mających mnie chronić podczas snu.

Zrozumiałam dopiero kilka dni później.

Po zniknięciu Carmilli moje nocne cierpienia ustały.

Bez wątpienia słyszeliście o odrażającym przesądzie, rozpowszechnionym w Górnej i Dolnej Styrii, na Morawach, Śląsku, w tureckiej Serbii, w Polsce, a nawet w Rosji; chodzi o zabobonną wiarę w tak zwane wampiry.

Jeśli można uwierzyć świadectwom, wygłaszanym z całą pieczęcią i starannością, pod przysięgą, przed obliczem niezliczonych komisji i trybunałów, złożonych z ludzi mądrych i prawych, i obszernym raportom, być może liczniejszym, niżli te istniejące na temat wszelkich innych przypadków, trudno zaprzeczyć czy nawet wątpić w istnienie zjawiska wampiryzmu.

Ja sama nie słyszałam żadnej innej teorii, która tłumaczyłaby to, czego doświadczyłam i czego byłam świadkiem. Wyjaśniają to jedynie pradawne,

doskonale udokumentowane wierzenia miejscowych.

Następnego dnia przeprowadzono w kaplicy Karnsteinów oficjalną procedurę.

Grobowiec hrabianki Mircalli został otwarty; zarówno generał, jak i mój ojciec rozpoznali w odsłoniętej twarzy ową piękną, perfidną nieznajomą, którą gościli w swych progach. Jej oblicze, choć od pogrzebu upłynęło półtora stulecia, zachowało żywą barwę. Oczy miała otwarte; z trumny nie rozchodził się trupi smród. Dwóch obecnych na miejscu medyków, jeden oficjalnie uczestniczący w procesie, drugi obserwujący go w imieniu wnoszącego oskarżenie, zaświadczyło o cudownym fakcie, że wciąż dawało się wyczuć lekki, lecz wyraźny oddech i towarzyszące mu bicie serca. Członki zachowały idealną giętkość, ciało pozostało sprężyste, a ołowianą trumnę wypełniała głęboka na siedem cali krew, w której unosiły się zwłoki.

Wszystko to stanowiło udokumentowane oznaki wampiryzmu. Zaczynam podniesiono ciało i zgodnie ze starożytnym zwyczajem przebito zaostrowym kołkiem serce wampira, który wydał z siebie wówczas przeszywający wrzask, podobny wielce temu, jaki mógł się wyrwać z ust człowieka żywego w krańcowej agonii. Następnie odrąbano głowę, i z kikuta szyi wytrysnął strumień krwi. W końcu ciało i głowę umieszczono na stosie drew i spalono na popiół, który rzucono w nurt rzeki, by poniósł je ze sobą. Od tego czasu żaden wampir nie nawiedzał już okolicy.

Ojciec zachował kopię raportu Komisji Cesarskiej, zaopatrzoną w podpisy wszystkich obecnych podczas owej procedury, zaświadczające prawdziwość relacji. To z tego urzędowego dokumentu zaczerpnęłam opis ostatniej, szokującej sceny.

XVI. Zakończenie

Sądźcie zapewne, że piszę to wszystko bez zbytniego wzruszenia. Nic bardziej mylnego — nie potrafię nawet spokojnie myśleć o owych sprawach. Jedyne wasze szczere zainteresowanie, jakże często okazywane, mogło mnie zmusić do tego, bym podjęła się zadania, które na wiele przyszłych miesięcy rozstroi mi nerwy i znów przywoła cię niewypowiedzianej grozy, przez długie lata zamieniający moje dnie i noce w ciągłe męczarnie i sprawiający, że na myśl o choćby chwili samotności ogarniała mnie bezrozumna panika.

Pozwólcie, że dodam kilka słów na temat ekscentrycznego barona Vordenburga, którego osobliwej wiedzy zawdzięczaliśmy odkrycie miejsca pochówku hrabianki Mircalli.

Baron osiadł w Gratzu, w Górnej Styrii, gdzie żyjąc z nędznych resztek niegdyś ogromnej rodowej fortuny, poświęcił się mozolnym, wnikliwym badaniom znakomicie udowodnionego zjawiska wampiryzmu. Miał w swoich zbiorach wszystkie, zarówno największe, jak i najskromniejsze dzieła na ten temat: „Magia Posthuma”, „Phlegon de Mirabilibus”, „Augustinus de cura pro Mortuis”, „Philosophicae et Christianae Cogitationes de Vampiris” pióra Johna Christofera Herenberga i tysiące innych, z których zapamiętałam tylko kilka, wypożyczonych przez barona mojemu ojcu. Zdobył też szczegółowe streszczenia wszystkich spraw sądowych, z których wydobył system zasad, rządzących — czasem bezwzględnie, czasem tylko w pewnych okolicznościach — kondycją wampira. Wspomnę mimochodem, iż śmiertelna bladość, przypisywana podobnym istotom, to jedynie melodramatyczny mit. Zarówno w grobie, jak i pojawiając się między ludźmi, wyglądają jak okazy zdrowia. Wydobyte z trumny na światło dzienne mają wszystkie objawy, które wyliczyłam jako dowody wampirzego życia dawno zmarłej hrabianki Karnstein.

Nikt nigdy nie zdołał wyjaśnić, w jaki sposób wampiry wymykają się z grobów i powracają do nich co dzień na kilka godzin, nie poruszając ziemi ani w żaden sposób nie uszkadzając trumny bądź całunu. Tylko codzienny spoczynek w grobie umożliwia wampirowi jego dwoistą egzystencję. Sił do działania na jawie dostarcza natomiast złowroga żądza żywej krwi. Wampir często okazuje coraz głębszą fascynację i pociąg do jednej szczególnej osoby, które to uczucie bardzo przypomina namiętną miłość. Aby zdobyć tę osobę, gotów jest do niemal niewyczerpanej cierpliwości i wyszukanych podstępów, nawet gdyby na drodze stawały mu setki przeszkód. Nigdy nie spocznie, póki nie zaspokoi namiętności i nie wysączy życia z upragnionej ofiary. W takich jednak przypadkach przedłuża i

przeciąga morderczą rozkosz, napawając się nią z istic epikurejskim wyrafinowaniem i potęgując ją dodatkowo niespiesznymi, przemyślnymi zalotami. Wówczas zdaje się łaknąć uczucia i wzajemności ofiary. Zazwyczaj jednak zmierza wprost do celu, obezwładnia ofiarę siłą, dusi i często pozbawia życia podczas jednego posiłku.

W pewnych okolicznościach wampir podlega szczególnym uwarunkowaniom. W tym akurat przypadku, który tu zrelacjonowałam, Mircalla najwyraźniej musiała ograniczać się do imienia, które, choć nie do końca identyczne, zawierało przynajmniej w sobie — bez pominięcia ani dodatków — wszystkie litery oryginału, stanowiąc jego tak zwany anagram.

Była nim Carmilla; podobnie Millarca.

Ojciec powtórzył baronowi Vordenburgowi, który pozostał u nas parę tygodni po unicestwieniu Carmilli, historię szlachcica z Moraw i wampira z cmentarza w Karnsteinie, spytał też, jak baronowi udało się odkryć dokładne położenie z dawna ukrytego grobowca hrabianki Mircalli. Groteskowe rysy barona rozjaśnił tajemniczy uśmiech; spuścił wzrok, wciąż z uśmiechem, na sfatygowany futerał na binokle, i zaczął przy nim majstrować. Potem uniósł głowę.

— Mam w swoim posiadaniu wiele tomów dzienników i innych dokumentów autorstwa owego niezwykłego męża; najciekawszym z nich jest relacja z wzmiankowanych przez pana odwiedzin u Karnsteinów. Tradycja, rzecz jasna, zniekształciła nieco i ubarwiła prawdę. Miejscomi mogli go nazwać szlachcicem z Moraw, przeniósł się bowiem do owej krainy i pochodził ze szlacheckiego rodu. W istocie jednak przyszedł na świat w Górnej Styrii. Dość rzec, iż we wczesnej młodości żarliwie kochał się w pięknej Mircalli, hrabiance Karnstein, a i ona darzyła go swymi względami. Jej przedwczesna śmierć pogrążyła go w nieopisanej rozpacz. W naturze wampirów leży pomnażanie swych szeregów, muszą jednak trzymać się przy tym zasad bezlitosnego, upiornego prawa.

Założmy iż z początku mamy obszar wolny od tych szkodników. Gdzie wówczas zaczyna się plaga i jak się rozszerza? Zaraz państwu wyjaśnię. Jakiś człek, mniej czy bardziej występny, odbiera sobie życie. W pewnych okolicznościach samobójca staje się wampirem. Widmo to następnie odwiedza ludzi we śnie, ci umierają i już w grobach niemal zawsze przemieniają się w wampiry. To właśnie spotkało piękną Mircallę, którą prześladował jeden z owych demonów. Mój przodek, Vordenburg, po którym dziedziczył tytuł, odkrył to wkrótce i podczas studiów, którym poświęcił się całkowicie, dowiedział się o wiele więcej.

Miedzy innymi doszedł do wniosku, iż podejrzenie o wampiryzm wcześniej czy później padnie także na nieżyjącą hrabiankę, którą tak bardzo wielbił za życia. Ze zgrozą myślał o tym, że jej szczątki miałyby zostać sprofanowane w ohydnych rytuale pośmiertnej egzekucji. Pozostawił po sobie osobliwą rozprawę, dowodzącą,

że jeśli coś zakończy jego dwoistą egzystencję, wampir zostaje skazany na los znacznie straszniejszy. Postanowił uchronić przez tym niegdyś umiłowaną Mircallę.

Przygotował zatem chytry plan, zakładający, że przybędzie tutaj, uda, że przynosi jej szczątki, a w istocie zatrze wszelkie ślady grobowca hrabianki. Na starość jednak, spoglądając z wyżyn lat na padół łez, który wkrótce miał opuścić, ujrzał w nowym świetle to, co uczynił, i ogarnęła go zgroza. Wówczas to nakreślił plany i notatki, które doprowadziły mnie we właściwe miejsce, a także spisał wyznanie i wyjaśnił podstęp, do którego się uciekł. Jeśli nawet zamierzał podjąć dalsze kroki, przeszkodziła mu w tym śmierć; i dopiero daleki potomek doprowadził w końcu, zbyt późno dla wielu nieszczęśników, pościg do kryjówki bestii.

Rozmawialiśmy jeszcze czas jakiś; między innymi baron powiedział, co następuje:

— Jedną z oznak wampiryzmu jest niezwykła siła. Kiedy generał wzniosł siekierę do ciosu, smukła dłoń Mircalli zacisnęła się niczym imadło na jego przegubie. Lecz moc wampirzej ręki nie ogranicza się tylko do samego chwytu: pozostawia w kończynie odrętwienie, ustępujące bardzo powoli, a czasem w ogóle.

Następnej wiosny ojciec zabrał mnie na wyprawę do Włoch i dopiero po ponad roku wróciliśmy do domu. Groza niedawnych wydarzeń mijała z wolna; i po dziś dzień w moich wspomnieniach powraca dwojaki obraz Carmilli — raz pogodnej, sennej, pięknej dziewczyny, innym razem zwijającego się w konwulsjach monstrum, jakie widziałam na starym cmentarzu. Czasem też bywa, iż z zamyślenia wrywa mnie wrażenie, jakbym słyszała lekkie kroki Carmilli w drzwiach salonu.

Przypisy:

[1]

William Szekspir, „Kupiec Wenecki”, przeł. Leon Ulrich